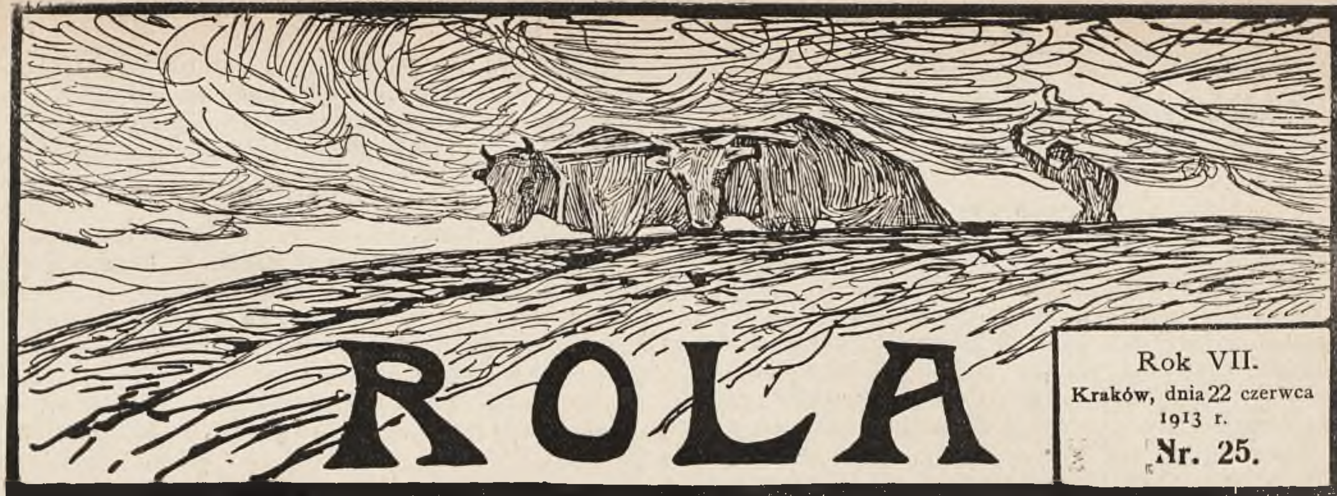


Rok VII.
Kraków, dnia 22 czerwca 1913 r.
Nr. 25.

TYGODNIK OBRAZKOWY NIEPOLITYCZNY KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — Ogłoszenia po 30 halerzy za wiersz jednoszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy; do nabycia w księgarniach i na większych dworcach kolejowych. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.** Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. Godziny redakcyjne codziennie od godz. 3 do 6. Telefon nr. 2346.

Synowie wasi — to przyszłość nasza!

Tak powiedział pewien poeta.

Jakiego ci synowie będą usposobienia, taka będzie i przyszłość narodu. Szczęśliwa ta kraina, co na przyszłość będzie miała dzielnych synów, to jest oświeconych i umoralnionych. W takiej krainie nie będzie ani bijatyk, ani złodziejstwa, ani pijatyki; będzie tam wyrobienie społeczne do każdej pracy zbiorowej dla dobra swojego kraju. W takiej krainie będzie kwitło szczęście i przyszłość narodu.

Jakże inaczej będzie się przedstawiała kraina z synami krnąbrnymi, zacofanymi i nieoświeconymi? W tym kraju napewno nie będzie braku złodziejstwa, pijaństwa, bijatyk, szachrajstwa, kłamstwa i wszelkich nieuczciwych czynów; w takiej krainie nie będzie zdolności do żadnej pracy zbiorowej, tam praca i rada będzie tylko przy kieliszku.

Smutno się robi człowiekowi uczciwemu, gdy patrzy na nasze wioski, że w tych wioskach są synowie z tej drugiej krainy... Kto zna lud wiejski i wnika w jego potrzeby, ten dopiero może zrozumieć, że jeżeli nie weźmiemy się do pracy nad uświadomieniem synów i braci młodszych, to przyszłość nasza będzie czarna.

Dlaczego więc, ojcowie, mało dbacie o przyszłość swych synów i tem samem nie chcecie się przyczynić do lepszej przyszłości narodu? Dlaczego wy, ojcowie nie chcecie najpierw skasować tej zgnilizny, demoralizującej wasze dzieci, to jest tego pasania bydła w kupie? Czy ty, ojcze, nie widzisz całkiem, co twoje dzieci wyrabiają na pastwisku? Idź i przysłuchaj się tylko tak, żeby one ciebie nie widziały, a wtedy się przekonasz, że kto tylko będzie szedł: żyd, czy dziad, stary, czy młody, to w każdego będą ciskały kamieniami i kijami. Takie to jest ich pierwsze przywitanie.

Dlaczego wy, ojcowie, sobie uszy zatykacie na to, co wasze dzieci mówią za bydłem? czy może nie wiecie, wiele to tam jest bluźnierstwa, wiele wypowiedzianych »choler«, »dyabłów« i innych nieprzyzwoitych wyrazów?

Każdy prawdziwy Polak, czy Polka, powinien wytykać błędy swojego społeczeństwa i ganić to, co jest złe, a chwalić to, co jest dobre; powinien zachęcać do dobrego i zaprowadzać to, co jest pożyteczne.

Weźmy naprzykład bijatyki. Gdzie tylko się spotkasz z młodymi chłopakami, czy to przed kościołem, czy na odpuście, czy na jarmarku, albo na wsi, wszędzie mówią o bitkach. O czem on będzie mówił, kiedy niema pojęcia o sprawach rolniczo-ekonomicznych, społecznych, historycznych, politycznych, oświatowych? Powiada niejeden: »Ja to dopiero jestem zuch! Jak tamtego Jaśka lub Wojtka uwaliłem kołkiem, to aż krew na kołku została!« Albo powiada: »Ja tego a tego muszę koniecznie zbić lub zabić! niech co chce kosztuje, choćby mi przyszło samemu zginąć!« Dopiero jak kogoś pobiją, to się chwalą, że takie zuchy, i idą zaraz do dziewuch rozpowiadać o tem; ale która Polka kocha swój naród, to takiej mowy nie powinna nawet słuchać.

W obecnych czasach mówi się dużo i pisze o wychowaniu cieląt, źrebiąt, prosiąt, przykłady bierze się z Czech, Moraw i Szwajcaryi, ale o wychowaniu młodzieży na rozumnych i dzielnych obywateli tak się mało mówi. Tak naprzykład w Szwajcaryi, gdzie jest młodzież dobrze wychowana, nie znają zupełnie kryminałów, bo tam niema kryminalistów. A u nas, mój Boże, niema gdzie pomieścić przestępców! A więc, jeżeli mówimy dużo o wychowaniu inwentarza, to czemubyśmy nie mieli mówić o wychowaniu młodzieży, tej przyszłości narodu.

Dlatego też należy nam przedewszystkiem zwrócić baczną uwagę na wychowanie naszej młodzieży.

Rok Burzy.

(Opowiadanie porucznika z r. 1863).

33. ARESZTOWANIE.

Karol naraża się. — Nieudana obrona dziewcząt. — Uwięzienie. — Dalsze rozprawy o zamachu.

Ze sklepu jedni wychodzili na ulicę wprost, inni zaś przez podwórze. Ja należałem do pierwszych i szedłem sam, rozmyślając nad tem, com widział i słyszał. W odległości może dziesięciu kroków przedemną posuwał się na swych długich i cienkich nogach, kołysząc się jak żóraw, mój Karol Laskonogi. Pamiętam, że gdym go spostrzegł, zaniepokoiłem się mocno i rozgniewałem, widząc go ubranego w ten sam fantastyczny i zwracający na siebie uwagę strój, w którym dokonał zamachu na Rotkircha. Miał więc na głowie maleńki kapelusik zielonkawego koloru z piórkiem, wiszący mu na czubku głowy, i okryty był rodzajem peleryny, sięgającej mu do kolan. Strój taki już wtedy był rzadko używany i oczywiście wszyscy oglądali się za Karolem, do czego jeszcze przyczyniała się jego chuda postać, długie, bocianie nogi, jego ruchy pełne przesady i impertynenckie zaglądanie w oczy wszystkim przechodzącym kobietom. Patrząc na to, miałem jak najsmutniejsze przeczucie, zwłaszcza, że Karol zamiast po wyjściu ze sklepu przejść zaraz na drugą stronę ulicy, jak to uczynił Zezowaty, szedł prosto, kierując się ku bramie biura policyjnego, koło którego kręciło się mnóstwo policyantów i mocno podejrzanych figur szpiegowskich.

Chciałem ostrzedz Karola i przyśpieszyłem kroku, by go dogonić, gdy nagle, prawie przed samą bramą biura policyjnego, zatrzymał mego nieszczęśliwego współtowarzysza jeden z policyantów.

— Hej, panie — rzekł — stój!

Karol wyprostował się i zawołał piskliwym głosikiem:

— Jak pan śmiesz mię zatrzymywać? Czy nie wiesz, kto ja jestem?

— No... panie, kto ty jesteś, ja nie wiem, ale w biurze policyjnem o tem dowiemy się. Proszę za mną!

Byłem niemym świadkiem tej sceny i pot śmiertelny wystąpił mi na czoło. Uważałem Karola za przepadłego. On sam, widziałem to dobrze, zrazu pobladł straszliwie, ale szybko przyszedł do siebie i uśmiechając się do policyanta, mówił:

— O! najgorszy z ludzi, dlaczego mi czas na próżno zabierasz? Czy nie widzisz, że śpieszę na schadzkę z najpiękniejszą kobietą w Warszawie i że, gdy się spóźnię, stracić mogę jej miłość?

Policyant, młody człowiek, na te słowa wypowiedziane z teatralną przesadą, uśmiechnął się i widoczne było w jego twarzy wahanie, zwłaszcza, że dzięki sprzyjaniu sprawie powstańczej ludności ulicznej, przy policyancie znalazło się zaraz kilka dziewcząt i z zalotnymi uśmiechami poczęły wypytywać się i nalegać na policyanta, by Karola puścił.

— No! no! — mówiła jedna z nich, szatynka z wielkiemi ciemnemi oczami, szczerząc białe ząbki — niech no pan Bazyli puści tego pana.

— A panna Maryanna cóż? — pytał policyant, pożerając wzrokiem dziewczynę i wahając się coraz bardziej.

I byłby z pewnością puścił nieszczęśliwego Karola, gdyby nie to, że zjawiło się dwóch innych policyantów i ci groźnie ofuknęli zgromadzone dziewczęta i mego biednego towarzysza ze sobą zabrali.

Całej tej sceny, która na mnie niesłychanie przykre i przygnębiające wywarła wrażenie, był świadkiem stojący na drugiej stronie ulicy Władysław Zezowaty. Pobiegłem do niego wzruszony do głębi i zapytałem:

— Czy widziałeś pan?

— Widziałem.

— No, więc cóż? — rzekłem. — Trzeba go ratować, trzeba mu dopomódz!...

Spojrzał na mnie swemi, zezowatemi oczami i rzekł spokojnie i chłodno:

— A to w jaki sposób?

— Ja nie wiem — odrzekłem z uniesieniem — to jest wasza rzecz, od tego jesteście władzą, macie środki...

— Nie mamy żadnych środków na ratowanie głupców. Ten twój żołnierz był ostatnim głupcem. Stroił się jak pajac, choć kilkakrotnie go ostrzegałem, a nawet przed chwilą, gdyśmy wychodzili, mówiłem mu, by ruszył przez podwórze i ominął biuro policyjne. Nie posłuchał mię i teraz ma za swoje. A zresztą teraz nic się nie da zrobić. Bądź spokojny, obywatelu, później pomyślimy o tem.

Ziewnął głośno, oglądając się obojętnie dokoła, kiwnął mi głową protekcyonalnie i skręcił w bok w ciasną uliczkę Trębacką i zniknął mi z oczu.

Byłem wściekły i zrazu chciałem biedz za nim i zmusić go do niesienia pomocy nieszczęśliwemu Karolowi, ale opamiętałem się i rozum mi szeptał, że w rzeczy samej Zezowaty ma racyę, że teraz nic zrobić się nie da, że czekać trzeba, że Karol sam sobie winien, że pokutuje teraz za swoją lekkomyślność niesłychaną.

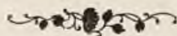
Ruszyłem więc jakby senny i niesłychanie zgnębiony. Za innymi przypatrywałem się ogromnej kamienicy hrabiego Zamoyskiego, za innymi poszedłem na ulicę Pańską i za innymi znalazłem się w ogromnym sklepie winnym kupca Bonity, który wychodził na dwie ulice, na Krakowskie Przedmieście i na Pańską. Tam w bocznej, ciemnej izbie, powoli zgromadzili się, przychodząc pojedynczo, wszyscy spiskowcy. Pojawiły się znów na stole butelki omszałe, rozpoczęła się pijatyka i rozprawy. Siedziałem przy nich niemy, milczący, smutny nadzwyczajnie i zamyślony o losach biednego Karola. Jak przez sen tylko przypominam sobie toczące się rozprawy, wiem tylko, że jeden z zebranych, zdaje mi się, garbaty Wnętruski, opowiadał, że na pierwszem piętrze znajduje się kawiarnia, że z sali bilardowej tej kawiarni można po prostu włożyć bomby do powozu przejeżdżającego namiestnika, ale że niestety! niepodobna będzie dokonać stamtąd zamachu dlatego, że sala bilardowa od rana do późnej nocy przepełniona jest amatorami tej gry, a właściciel tej kawiarni, groszorób, któremu wszystko jedno, kto rządzi w Polsce, byle on mógł dukaty zbijać, za nic się nie zgodzi, by salę na parę dni zamknąć i oddać ją do rozporządzenia spiskowców.

Jaki wreszcie był rezultat tej ostatniej narady w ciemnym, dusznym, pełnym wszelkiego rodzaju wyziewów, pokoiku, nie wiedziałem. Siedziałem na pół senny i nieprzytomny, do czego zapewne wiele przyczyniło się wypicie kilku kieliszków mocnego wina, mając ciągle przed oczami biednego Karola, aresztowanego na ulicy. Do tego chłopca byłem przywiązany; przeżyliśmy wspólnie mnóstwo różnych przygód, toczyliśmy wspólne boje, odbywaliśmy długie i nużące marsze, było się pod wozem i na wozie, a on zawsze miał jednostajny humor, zawsze nas bawił swym poetycznym nastrojem i myślą pogodną rozjaśniał ponure noce zwątpienia. Żal mi też było go teraz serdecznie i pamiętam, że po naradach

w owej ciasnej izdebce, wniosłem na stół sprawę Karola, domagając się, by zebrani panowie dołożyli wszelkich usiłowań, by go uwolnić z rąk nieprzyjaciół. Co mi odpowiedziano, dokładnie nie pamiętam; wiem tylko tyle, że nie chciano mię nawet słuchać, że Ludwik Okularnik rzekł:

— Wszyscy jesteśmy w jednakowem położeniu. Nad każdym z nas wisi toż samo niebezpieczeństwo; każdej chwili możemy dostać się w ręce nieprzyjaciół. Jesteśmy jak żołnierze, którzy padają ranni na pobojowisku. Czyż w czasie gorącej walki myśli kto o nich? Czyż nie zostawia się ich własnemu losowi? Rząd narodowy nic na to poradzić nie może. Skoro obywatel Karol Laskonogi przez własną nieostrożność wpadł w ręce naszych wrogów, niech sam o sobie myśli. My mu nic poradzić nie możemy.

Pamiętam, że mię te słowa oburzyły i że schwyciwszy za czapkę, z wyrazami bardzo ostrymi i niepochlebnymi dla tych panów, opuściłem zgromadzenie. Szedłem przez ulice na pół senny i na pół nieprzytomny, a gdym się dostał do siebie na ulicę Złotą, zjawiła się u mnie Adolfina, jak zawsze, wyróżowana mocno i ubrana jaskrawo, i śmiejąc się hałaśliwie, opowiadała mi coś szeroko i długo o kapitanie Rotkirchu. Co właściwie mówiła, nie przypominam sobie, zostało mi tylko wrażenie bardzo dla mnie przygnębiające, że kapitan ma się lepiej, że prawdopodobnie wyzdrowieje, podczas kiedy mój Karol nieszczęśliwy przepłaci to wszystko życiem. Mówiła mi dalej Adolfina o Józefinie, że starannie pielęgnuje swego męża, co mię jeszcze bardziej podrażniało i byłem w takiej rozpaczy, że pamiętam, iż na seryo rozmyślałem nad tem, czyby nie było lepiej odebrać sobie życie i raz zakończyć te wszystkie męczarnie. Ale oczy moje padły na rozłożony na stole »Złoty Ołtarzyk« i na ową modlitwę w niebezpieczeństwie, która tylokrotnie pokrzepiała mego upadającego ducha. Z myślą, że samemu nie warto sobie odbierać życia, skoro mi je lada chwila odbiorą nieprzyjaciele, zasnąłem i tak zakończyłem ten dzień, jeden z najsmutniejszych i najbardziej ponurych w mojem życiu. (Ciąg dalszy nastąpi).



Za młodu, czy na starość?

W jednej z wiosek podkarpackich żyło sobie dwóch zamożnych kmieci. Zdarzyło się, że obaj odrazu sprawiali chrzciny, jednemu dał Pan Bóg chłopczyka, a drugiemu dziewczynkę. Otóż uradzili na chrzcinach, że gdy nowo ochrzczeni podorastają, to ich połączą węzły dozgonnymi.

Jak uradzili, tak też zrobili. Gdy młodzi doszli do lat, sprawili im sute wesele, wywianowali dostatnio, tak, że młodemu stadłu brakło chyba ptasiego mleka.

Aliści pewnej nocy, wnet po weselu, usłyszeli młodzi pukanie do okna i głos mówiący:

— Kiedy wolicie cierpieć niedolę, za młodu czy na starość? Jutro przyjdę po stanowczą odpowiedź.

Nazajutrz młodzi radzili się ojców, co mają odpowiedzieć widmu, gdy przyjdzie po odpowiedź. Ojcowie po namyśle kazali odpowiedzieć, że za młodu lepiej cierpieć, gdyż człowiek ma więcej sił do zniesienia utrapień.

Młodzi zastosowali się do rady ojców i odpowiedzieli widmu, że godzą się za młodu znosić niedostatek.

Według zapowiedzi zaczęły się sypać na nich różne nieszczęścia, a na dobitek, po zbiorach w jesieni, spłonęły z całym zbiorem, tak, że ledwie z życiem uciekli.

Ojcowie drwili z takiej biedy, wystawili młodym budynki jeszcze dostatniejsze i zaopatrzyli we wszystko. Cóż z tego, kiedy po roku ogień znowu wszystko w perzynę zamienił.

Wtedy ojcowie poznali, że mają z potężnym losem do czynienia i doradzili młodym, aby udali się na wędrówkę, gdyż tu i sami niczem nie będą i ojców na dziady obrócą.

Dostawszy od starych ojców coś grosza na drogę i błogosławieństwo, ruszyli w świat. Gdy uszli dzień drogi, młodego tak paraliż pokręcił, że stał się kaleką, a do tego i na oczy zaniewidział. Wierna żona kupiła wózek za ostatnie centy i na wolę Boską puściła się w dalszą drogę. Na tej wędrówce zdybał ich jadący bogaty pan, a dopytawszy się przyczyny, rzecze do kobiety:

— Słuchaj mojej rady, zostaw męża na drodze pod lipą, ja mu dam pieniędzy na utrzymanie, a kto go znajdzie, to za tę sumę weźmie go do siebie, a ty chodź do mnie do służby, bo ciebie szkoda zmarnować bez żadnego pożytku.

Po długich wahaniach zgodziła się kobieta na tę propozycyę, a przełamawszy pierścionek ślubny, połowę zawiesiła mężowi na piersi, a połowę schowała sobie, pożegnała się z mężem i szlochając, odjechała z panem do służby jako gospodyni.

Młody człowiek zasnął na wózku w cieniu lipy, tymczasem kruk nadleciał i porwał chustkę z pieniądzmi, myśląc, że to mięso.

We śnie zdawało mu się, że jakoby ktoś mówił do niego: »Stocz się ze wzgórka, a macając, obmyj się wodą ze źródełka, które napotkasz, a będziesz zdrów«.

Gdy się ocknął, zrobił tak, jak mu się śniło, a namacawszy wodę, obmył się cały, a oto zaraz przejrzał i wyprostował członki. Podziękowawszy Bogu za cud na sobie doznany, poszedł za robotą jako cieśla i budowniczy.

Tak mu zeszło dwa lata, aż przypadkiem zaszedł do dworu, gdzie żona jego służyła. Przedstawiwszy się panu jako budowniczy, dostał robotę przy budowie stodoły. Nazajutrz poszedł do lasu z leśniczym i kilku rębaczami, aby wybrać drzewo na stodołę. Gdy już większa część drzewa była ścięta, kazał rębaczom ściąć widlatą jodłę na żuraw do studni. Gdy mierzył widłaczkę, czy będzie miała żądaną długość, zobaczył coś tam czerwonego, a podszedłszy bliżej, poznał szczątki chustki, do której mu żona zawiązała dukaty i pierścienia połowę, a którą kruk-złodziej porwał i w dziupli umieścił. Schował dukaty i pierścień, wzdychając, gdzie jego ukochana się znajduje. Nie przeczuwał, że żyje ze żoną pod jednym dachem.

Pewnego dnia, będąc zajęty wiązaniem dachu stodoły, zobaczył swą żonę, która mu się pilnie przypatrywała, jednakże jej nie poznał. Wdawszy się z nim w pogawędkę, dowiedziała się całej historyi, a zapytawszy go, czy niema jakiego znaku, tenże jej pokazał połowę pierścienia, do którego ona dodawszy swoją połowę, poznała w nim męża swego i aż z radości straciła przytomność.

Gdy się pan dowiedział o tem, co zaszło, ucieszył się bardzo, zatrzymał oboje do Nowego Roku, a wynagrodziwszy ich hojnie, odstawił aż do wioski rodzinnej. Odtąd tych dwoje ludzi pędziło w szczęściu błogi żywot aż do śmierci, która nastąpiła już w sędziwym ich wieku.

Tak to Bóg kieruje losami ludzkimi i najgorszą dolę obróci w szczęście i radość. Potrzeba tylko godzić się z wolą Jego Przenajświętszą.

Franciszek Adamski.

JULIUSZ TARNOWSKI.

W 50-tą rocznicę bohaterskiej śmierci pod Komorowem, 20 czerwca 1863 r.

Hasła boju echem poszły przez ustronia,
I Juliusz Tarnowski dosiadł żwawo konia;
Kord przodków u boku, pistolet u pasa,
Rumak podrażniony rażno pod nim hasa.

— „Nie rzucaj rycerzu domowych ustroni“ —
Ozwały się szmery od dzikowskich błoni;
— „Zawracaj rycerzu na rodzinne niwy“ —
Od modrych fal Wisły szept wionął pieściwy.

— O, darmo! Ojczyzna pomocy gdy woła,
Polaka prawego nic wstrzymać nie zdoła;
W kim mężnych rycerzy gorąca krew płynie,
Ten o to nie pyta — zwycięży, czy zginie.

O, niechże Cudowna Dzikowska Marya
W Swej ma cię opiece i szabli twej sprzyja!
Wśród chrzęstu żelaza, wśród dymu i huku
Niech cię Bóg wspomaga — hetmański prawnuku.

Pod wodzą Jordana garść polskich rycerzy
W potyczkach z Moskalem walecznie się mierzy;
Wróg do Komorowa ścigany uchodzi,
W tropy jego dążą zapaleńcy młodzi.

Tu Moskwa, przed okiem powstańców ukryta,
Kul gradem zdradziecko przybyłych powita:
Z zasieków w ich piersi — jak do celu mierzy...
Dzikowska Panienko — chroń Twoich rycerzy!

— „Do ataku wiaro! — wraz komenda padła —
Zdobyć te stodoły, gdzie się Moskwa wkradła!
Na bagnety! komu poledz nie nowina, —
W odsiecz Dunajewski ciągnie od Szczucina“.

— „Zwyciężyć, czy zginąć — jednaka nam droga,
Hej za mną do szturmu — do stodół — na wroga!“
Tarnowski zawołał — i pierwszy dopada
Zasieków — a za nim trzydziestu gromada...

Nie wszyscy do mety, nie wszyscy dobiegli,
Cofnęli się jedni, drudzy od kul legli;
Nadzieje odsieczy zgasną tak, jak błysły —
Pogrzebiona ona w bystrych nurtach Wisły.

Siedmiu było wszystkich tych, co się dostali
Żywi do zasieków, w tłum zbrojnych Moskali —
Z bagnetem jak piorun, jak Tytana syny,
Natarłszy na wroga znękanej krainy.

I wzmogła się bitwa, aż zapadło słońce *).
Echa walki wichrem w hyże poszły gońce;
Zerwał się koń wrzawą bojową spłoszony,
Bez jeźdźca w otwarte popędził precz strony.

Bez pana wróciłeś, koniku ty wrony,
Lecz czemuż tak smutno łeb trzymasz zwieszony
I nie tkniesz obroku, jaki ci podano,
I wonne nad żłobem nie nęci cię siano?

Zbyteczne, koniku, twe nieme powieści,
Bo szybsze od ciebie wichrzane ech wieści
I wieści przeczucia, co szybsze od gromu,
Sławę bohatera roznios'y już w domu.

Już on tu nie wróci, klepać cię nie będzie,
Popręgą nie ściśnie, na grzbiet ci nie wsiędzie.
Odpocznij, koniku; na przestronnej błoni
Deptać wonnej trawki nikt ci nie zabroni.

Obok nieodstępnych towarzyszy broni,
Bagnetami skłuty, z kulą w młodej skroni,
W kałuży krwi skrzepłej, odarty z odzieży,
Pośród trupów wroga mężny Juliusz leży.

A w dzikowskim dworze żal serca przygniata
I z piersi wezbranych westchnienie ulata:
W rozkwicie młodości, w piękne życia rano,
Poledz za ojczyznę już ci było dano...

Uciszcie się, serca! Wszystko to Bóg sprawił.
Juliusz *mężny przykład młodzieńcom zostawił,*
Bo wolał na wojnie umierać za młodu,
Niż patrzeć na swego niedolę narodu **).

A Polska, za której on poległ zbawienie,
Wdzięczne mu w swem sercu wyryła wspomnienie
I nosić je będzie po czasy wieczyste:
Dał duszę i ciało za prawa ojczyste ***).

Ferdynand Kuraś.

*) Mach. ks. I. r. X. wyjęte z napisów na pomniku Jul. Tarnowskiego w kościele OO. Dominikanów w Tarnobrzegu.
) Analogia napisów tamże. *) Ks. II. r. VII. tamże.

Czytelnictwo na wsi.

»W naszej wiosce, cichej wiosce
Jakoś miło życie chodzi...
Człek oddaje się mniej trosce,
Mniej narzeka i zawodzi...«

Czyliż dużo w naszym kraju jest wiosek takich, któreby powyższą piosnkę z ręką położoną na sercu zanuciły sobie? Mili bracia, powiem Wam gorzką prawdę, że nie wiele! A dlaczego? zapytacie, przecież nasze wioski dość wesoło się prezentują, wre w nich ruch i życie dość widoczne na pierwszy rzut oka.

Wre ruch i życie, lecz skutki tegoż ujemne. A dlaczego?

Zamało na wsi oświaty, a dlaczego to — bo się bardzo mało czyta. A dlaczego się mało czyta? Bo się nie zna owoców i błogich skutków czytania.

Dziś popatrzeć na wioski — aż żal serce rozdziera!... Młodzież nasza, to podstawa społeczeństwa, fundament przyszłości, a jak ona za mało pojmuje cel swego życia, już choćby tylko społecznego?! A z czegoż powstaną silni mężowie, hartowni rycerze, bojownicy wytrwali o wolność Polski, jeżeli nie z owych mas rozwijających się latorośli? Jeżeli burze i wichry zepsucia je połamią, z czegoż się zdrowego i tęgiego pnia doczekamy?...

Prawda, już to obecne wioski dużo a dużo przeniosły dawne ciemne i zacofane wsie polskie — ale jeszcze daleko im do tej wyżyny bytu, póki oświaty jak należy nie rozniecą w swem łonie.

Dziś, kiedy w wiosce znajdą się jednostki światlejsze, które z książką pod pachą przeświecą się w wiosce — odbijają na szerszej masie widzów piętno drwinek i głupich wyszydzań. Ta masa jeszcze nie zna błogich skutków czytania. I to bardzo dziwne, gdyż większość ludu poznała już ową »sztukę« czytania, a jednak z niej nie korzysta. Cóż z takiego stolarza, czy szewca, który doskonale zna swe rzemiosło, a jednak próżnuje i nic nie robi. Z czasem zapomni i to, co umiał i stanie się bezużytecznym członkiem społeczeństwa. Cóż z tego, że teraz szkoły uczą czytać, jeżeli to czytanie z ich ukończeniem zamiera. A jeśli z czasem odżyje — to jeszcze na książeczce do modlenia; poza tem kompletnie nic!...

Większość z naszej młodzieży marnuje po prostu czas, ten klejnot nieoszacowany w życiu człowieka.

Takim bezwiednie żyjącym jednostkom wziąć do ręki książkę oświatową tylko na kwadrans — staje się po prostu kryminałem; lecz strawią noce całe lub popołudnie niedzielne na bezużytecznych i gorszących schadzkach i figlach to jest dla niej zupełnie niczem.

Szerzmy więc czytelnictwo i oświatę po wioskach naszych; lecz oświatę dobrą, nie za pomocą gorszących pism i książek, lecz taką, której treść tchnie duchem Bożym. Bo szerzyć oświatę przez złe książki — lepiej nic nie robić.

Jak nie wszystkie pokarmy możemy bez szkody dla zdrowia jeść — tak samo nie wszystko, co drukowane, już dobre do czytania. A na tym przedmiocie, (zwłaszcza we wioskach), trudno się poznać. — Czytajmy więc zawsze, o ile tylko czasu zostawiają nam codzienne zatrudnienia, ale czytajmy książki i gazety przejęte duchem katolicko-polskim.

Walenty Pasierb.

WIANKI.



Płyń wianku po wodach toni, kołysz się, kołysz z fali na falę, a kto pokochał ten cię dogoni i temu oddam ust mych korale.

Rosłam ja, rosła, przy boku matki, piękna i hoża niczem rusałka i na wianuszek zbierałam kwiatki, czekając z drżeniem na tego śmiałka, który się rzuci po wód przeźroczy, by posiąść wianek wity misternie i wiecznie patrzeć w me modre oczy i dla mnie życie swe pędzić wiernie.

Kołysz się wianku z fali na falę, umykaj żwawo przed niekochanym a niech posiędzie ust mych korale ten, kto w mem sercu dawno wybranym.

Na brzegu stoję z sercem bijącem i wzrokiem śledzę ruch sinej wody.., Z wiankiem myśl płynie tętnem gorącem, by wianek dogonał chłopczyna młody. By wianek dognał ten, który kocha i serce swe mi chce dać kochane...

Och, ja dziewczyna wcale niepłocha, więc kogo kocham, pewno dostanę...

Pomknął już wianek— za nim na łodzi mkną hyżo z falą Staszek i Janek. Obaj dorodni, zwinni i młodzi, lecz tylko Jasio, ten mój kochanek.

Najświętsza Panno! sprawże łaskawie, aby Jaś wianek ułowił przecie, boć ja dwadzieścia mam lat już prawie a tak mi smutno, tęskno na świecie. I takbym pragła w tym roku jeszcze z Jankiem na wieki złączyć się śluby. Tą myślą ja się rok cały pieszczę... Najświętsza Panno nie chciej mej zguby!

Wianek omija łódź, gdzie kochanie... Ach jeszcze rok mi czekać wypadnie, jeżli go Janek z fal nie dostanie, na cały rok me szczęście przepadnie!

Skręciła — łódka do wianka płynie, schyla się Janek, dostanie może. Serce z radości: puk, puk dziewczynie:

— Och jakiś dobry — woła — mój Boże!

Już go dosięgnął, już w ręce wieniec a jeszcze moment do stóp przypłynie... Już jej w tym roku dziarski młodzieniec!

Radością bije serce dziewczynie...

Antoni St. Bassara.

Matusowa.

(Obrazek z życia).

Pisał się Matus, a z urzędu był gróbarzem. Wiele roków liczył, niktby pedzieć nie potrafił. Najstarszejsi ludzie w parafii pamiętali go zawsze jednakowym. Stary był, stareńki, z gębą nikiej ususzona gruszka, z gęstą ciemną czupryną, spadającą na czoło. Siła narodu pochował, a nijakie choróbsko przystępu doń nie miało.

Zagrodę posiadał, jak się patrzy, z ogródkiem, a i kawałek pola poza wioską. Powodziło mu się nieźle, bo i zarobek był i syna se uchował i ożenił — żyłby spokojnie, gdyby nie jedno »ale«.

Wiadomo każdemu, że dwa są rodzaje »babów« na świecie. Jedne, nikiej to słonko na niebie, ciche a miłujące, pogodę stałą wnoszą w dom mężowi. Szczęśliwy, kto utrefi na taką, może być o przyszłość spokojny; choćby nie wiedzieć jakie burze przewalały mu się nad głową, jedno spojrzenie, »słonka« przemieni je w — ciszę błękitu. — Baba zaś drugiego rodzaju, to se chadza ze Złem pod ramię, kieby kuma z kumem. W chałupie wieczne swary, wyzwiska, aż uszy puchną od ciągłego słuchania. Dyabeł wyprawuje harce z wielkiej uciechy: co raz to obłapie wpół babę i szepnie jej słówko uznania i zachęty — baba, rada z pochwały tem lepiej poczyna... Chłop ano ucieka wtedy z izby i cud to prawdziwy, gdy się nie rozpije...

Do tych drugich liczyła się Matusowa.

Szczęściem dla gróbarza był urząd, jaki piastował, bo to trza i usłużyć coś niecoś jegomości w kościele, świece zapalić, zadzwonić na Anioł Pański — a i swoje odrobić. To też wracał do domu zwykle koło południa, czasem wcześniej, czasem później — różnie bywało... Przyjdzie zmęczony, głodny, baba ano postawi miskę dymiącą na stole i dopytuje się a przypochlebia, wiele też przyniósł jej centów...

Gdy wyrzuci jej którą koronę, to ta jeszcze pół biedy. Matusowa chyta pieniądze w te pędy i czas pewien nimi zajęta milknie, dopóki nie wynajdzie se innego powodu do swarów.

Ale wiadomo, że z zapłatą to tak: ten zapłaci, inny da jeno kubek, a zresztą »Bóg zapłać« — trzeci ledwo kwitek wręczy.

Gdy baba zmiarkuje, że nijakich pieniądzów nie dostanie, to i miskę chłopu zarazinek z przed nosa porwie i tak mu dokumentnie przemawiać zacznie do rozumu — że Matus czemprędzej wynosić się musi z chaty... Bieży wtedy do syna...

— — — — — — — — — — — — —

Przyszła jednak i na gróbarza kreska. Podźwigał się przy pogrzebie nieboszczki Wojciechowej i zaraz położyć się musiał. — Gadali, że się oberwał.

Chorzał ze dwa tydnie, a co bez ten czas od swej baby znieść musiał, starczy mu za czyściec. — Tyla jego, że litościwi ludzie go odwiedzali, starali się rozweselić, babę uspokajali...

Poczuł wreszcie Matus, że mu na koniec idzie i w tajemnicy przed swoją, poprosił syna o księdza: wyspowiadał się, przyjął Wiatyk i Ostatnie Pomazanie...

Po odejściu proboszcza Matusowa nuż na nowo labiedzić, a przypodchlebiać się, a całować chłopa:

— Powiedz-że mi, kochanie, kajś wraził pieniądze? Zamrzesz, a ja bidna sirota ostanę samiuteńka na świecie...

— Nijakich centów nie chowałem... Dej mi choć umrzeć spokojnie — błagał, starając się usunąć ze wstrętnych sobie uścisków.

— Toś je chyba przepił, pijaku — wrzeszczała — i na drugim świecie nie będziesz miał za mnie spokoju...

Swarzyła i pomstowała, a szatan skakał z radości, spodziewając się porwać duszę umierającego, skoro nim owładną złość i rozpacz...

Lecz w tejże chwili weszli somsiedzi i krzątać się jęli koło chorego. Wyprowadzili babę, obstąpili łoże dokoła.

Na czole gróbarza śmierć kładła już swe dłonie, przesłaniała mgłą oczy.. Spostrzegli to otaczający, zapalili gromnicę i wetknęli ją umierającemu do lewej ręki, a sami, przyklęknąwszy, odmawiali chórem modlitwy...

Leży se Matus, leży, w garści ściska świecę, a choć mu ręka drętwieje, wytęża wszystkie siły, by ją utrzymać — boć przecież, skoro wypuści gromnicę, to i dusza zeń wyjdzie... Przed chwilą tak spokojnie ozmyślał o śmierci, z upragnieniem nawet jej oczekiwał — a teraz jak życia pożądał... Żeby jeno świeca nie zgasła, to i żyć będzie...

Jak przez mgłę widzi chwiejący się jej płomyk i nadzieja trwa jeszcze... Nie czuje, że stopiony wosk kapie i parzy mu rękę — nie słyszy głosów odmawiających modlitwy, traci świadomość, gdzie się znajduje, a ciągle powtarza w myśli:

— Żeby jeno świecy nie puścić, żeby jeno...

— — — — — — — — — — — — —

Umarł gróbarz i gróbarz żyje.... Urząd z ojca przeszedł na syna. — Dzwony parafialne ogłosiły tę zmianę, Bartłomiej sprawił ojcu pogrzeb, jak się patrzy i wszystko powróciło do zwykłego zajęcia.

— — — — — — — — — — — — —

Wrócił i Bartłomiej ze stypy pogrzebowej, zajrzał do chaty Matusa i zaraz wynalazł se robotę: przecie pole nie obsiane jeszcze. — Chycił wór jęczmienia, od pana ojca konie pożyczył i wio na pole nieboszczykowe...

Posłyszała o tem Matusowa i ozeźliła się okrutnie...

Próżno uspokajała ją kumoszka, próżno radziła ugodę z synem — Matusowa pomstowała i wyklinała na Bartka, aż wydostawszy ze skrzynki parę papierków, najęła se konie u somsiadów i dalej do hadukata, do sądu...

Przyszło do rozprawy. Schyliła się gróbarzowa gdowa do kolan sędziego i żali się zapłakana:

— Pole bez ten rok mnie sie patrzy — naharowałam się na niem wspólnie z nieboscykiem, uprawiłam, nawiozłam...

— A cóż wy na to — pyta sędzia Bartłomieja.

— Ja ta nie zaprzeczam matce — odparł — a zasiałem je, by nie stało ugorem...

— To się zbiorem podzielicie — zawyrokował sędzia...

Przyjechała do domu Matusowa, uradowana, że postawiła na swojem i wraz z kumoszką raczyły się przywiezionym harakiem... Na strychu coś tłuc się poczęło: kot nie kot, pewnikiem dusza nieboszczyka gróbarza. Porwała się przerażona gdowa od stoła i otwarła drzwi do sieni:

— A pódźże, pódź! — wołała — przecieżem ci nie krzywa...

Ucichło jakoś, lecz Matusowa nie mogła się uspokoić:

— Pewnikiem upomina się, by dać za niego na Mszą świętą! Chyciła centy i pobiegła na plebaniję...

Kostka.

Polowanie na lwa.



Nie łatwem było upolowanie tego lwa, którego, jak widzimy na naszym obrazku, niosą murzyni już martwego, radzi, że pozbyli się groźnego wroga. W Afryce Europejczycy polują na lwy, lecz używają do tego kul, które utkwiwszy pod skórą, wybuchają i rozrywają wnętrzności. Dla posiadających taką broń myśliwych wyprawa na lwy nie jest prawie niebezpiecznna. Inaczej rzecz się ma z krajowcami, nie posiadającymi takiej broni. A lwy czynią im częstokroć ogromne szkody w bydle, zwierzętach domowych, ba, rozszarpują nieraz ludzi, co się niebacznie w gęstwiny leśne oddalili.

Niedawno temu w kraju Somalisów we wschodniej Afryce przez bardzo długi czas potężny lew porywał bydło, tak, że biedni murzyni już do rozpaczy byli tem doprowadzeni. Postanowili w końcu bezwarunkowo pozbyć się drapieżnika. Aby tego dokonać, wybrało się kilkunastu ludzi w puszczę, gdzie lew ów przebywał i opodal rzeczki przywiązali do pala kozę, która miała służyć za wabika. Sami zaś skryli się w pobliżu, czekając cierpliwie zmierzchu, gdy lew opuści swe legowisko. Uzbrojeni byli tylko w długie dzidy z zatrutemi ostrzami, któremi władają znakomicie.

Gdy zmierzch zaczął zapadać, bek uwiązanej kozy stawał się coraz rozpaczliwszy, ukryci murzyni słyszeli, jak szarpie się coraz gwałtowniej, a równocześnie szelest w gęstych krzewach, trzask łamanych gałęzi i głuchy pomruk zwiastowały, że lew się zbliża. Wreszcie wspaniałe zwierzę z bujną płową grzywą wynurzyło się z gęstwy. Ogonem walił po bokach niespokojnie, jak gdyby przeczuwał zasadzkę i raz w raz rozdzierał ciszę wieczoru potężnym rykiem, rozlegającym się jak grzmot dokoła. Długa chwila upłynęła, zanim zaczaił się do skoku. Murzyni z bijącemi sercami oczekiwali tej chwili, gdyż lew niespokojnie rozglądał się wokoło i zdawało się, że porzuci pewną zdobycz i umknie w krzaki. Ale żarłoczność drapieżnika zwyciężyła. Przysiadł jak kot, drąc ziemię tylnemi łapami, utkwiwszy błyszczące ślepia w dygocącą w śmiertelnym lęku kozę. Już w tym momencie nie zważał na podejrzane szmery, krwiożerczość zagłuszyła w nim zmysł ostrożności. Naraz w jednej sekundzie, zanim rzucił się na swą ofiarę, kilka zatrutych ostrzy ze świstem utwiło w jego bokach. Zerwał się i począł uciekać, brocząc obficie. Myśliwi szli śladami krwi. Niezadługo osłabł i uciekał wolniej, przyczem raz po razu nowe strzały dosięgały jego boków. Wreszcie padł na bok, dysząc ciężko — a wówczas jeden z najśmielszych Somalisów rzucił się nań i, gdy dogorywające zwierzę zerwało się ostatnim wysiłkiem z szaloną furyą na prześladowcę, ten ugodził go włócznią w samo serce. Za parę minut przywiązanego do pala nieśli już murzyni w tryumfie do swojej wsi, pewni, że teraz na długo będą oswobodzeni od tak niebezpiecznego wroga.

Z ruchu wyborczego.

Ruch wyborczy do Sejmu w całej pełni. W Galicyi wschodniej stają z jednej strony Polacy z drugiej Rusini dwóch odcieni a mianowicie: Ukraińcy i Moskalofile. W większości więc okręgów Galicyi wschodniej będzie walka wyborcza między kandydatem polskim a Rusinami, gdyż ci wszędzie stawiają po dwóch kandydatów a mianowicie Ukraińcy osobno a Moskalofile osobno.

Wprawdzie i z polskich kandydatów w Galicyi wschodniej w niektórych powiatach wysuwa się ich po dwóch i więcej, z różnych stronnictw, ale mamy nadzieję, że w ostatniej choćby chwili kandydaci mniej pewni cofną się i nie będą utrudniać wyboru Polaka przez rozbicie głosów.

Niektóre gazety twierdzą, że we wschodnio galicyjskich powiatach wszechpolacy mają się łączyć z Moskalofilami, sprzyjającymi Moskalom, wrogom naszym, ale nam się w owe twierdzenia nie chce wierzyć, boby to było poprostu zbrodnią narodową.

Pisano również, że ludowcy we wschodniej Galicyi łączą się przy wyborach z Ukraińcami, ale naczelny Zarząd Stronnictwa ludowego tej pogłosce stanowczo zaprzeczył.

W zachodniej Galicyi rzecz ma się inaczej — tu mieszkają tylko sami Polacy, więc walki narodowościowej nie będzie. Mimo to wybory w zachodniej Galicyi będą niemniej gorące.

Pominąwszy te powiaty, w których Stronnictwo Prawicy narodowej postawi swych kandydatów, ludzi znanych z wyrobienia politycznego i swej dodatniej działalności, a których wybór jest prawie pewny, w innych powiatach rozegra się walka pomiędzy dwoma obozami, a mianowicie między ludowcami a tak zwanym związkiem chrześcijańsko-ludowym, stworzonym w ostatniej chwili, w skład którego wchodzą narodowi demokraci (wszechpolacy), stojałowczycy i centrowcy.

W poprzednim numerze »Roli« podaliśmy nazwiska kandydatów poprzednio zatwierdzonych przez stronnictwa, dziś podajemy dalsze, już zatwierdzone kandydatury. I tak stawiają:

Związek chrześcijańsko ludowy:

Biała: Ludwik Dobija, rolnik z Rybarzowic, poseł do Rady państwa.
Bochnia: Wincenty Pilch, rolnik z Dołuszyc.
Brzesko: Józef Solak, rolnik z Borzęcina.
Dąbrowa: Ks. Jan Pilch, proboszcz i dziekan w Oleśnie.
Jasło: Ks. kanonik Zygmunt Męski, proboszcz w Dębowcu.
Kolbuszowa: Jan Ożóg, rolnik w Sokołowie.
Kraków: Dr Mieczysław Nartowski, lekarz w Krakowie.
Limanowa: Dr Józef Ptaś, radca i naczelnik sądu w Mszanie dolnej, poseł do Rady państwa.
Nisko: Ks. Stanisław Wolanin, wikary w Żrencinie.
Rzeszów: Wincenty Tomaka, rolnik w Trzebownisku.
Tarnobrzeg: Łukasz Mastalarczyk, rolnik z Turbi.
Wadowice: Franciszek Górkiewicz, rolnik z Głębowic.
Żywiec: Jan Zamorski, redaktor, poseł do Rady państwa.

Polskie Stronnictwo ludowe:

Bochnia: Kiernik Władysław.
Brzozów: Biały Stanisław.
Dąbrowa: Bojko Jakób.
Grybów: Cieluch Jan.
Jasło: Bosak Jędrzej.
Jarosław: Przewrocki Marcin.
Kraków: (rozstrzygnie 24 czerwca).
Limanowa: Dobek Michał.
Lwów: Wąsowicz Władysław.
Nisko: Bis Jan.
Nowy Sącz: Potoczek Narcyz.
Przemyśl: Ukleja Michał.
Ropczyce: (rozstrzygnie 22 czerwca).
Rzeszów: (rozstrzygnie 22 czerwca).
Tarnobrzeg: Wryk Waleryan.
Tarnów: Witos Wincenty.
Wieliczka: (rozstrzygnie 22 czerwca).

Nadto popiera P. S. L. następujących kandydatów demokratycznych:
Gródek: Śliwiński Hipolit.
Dobromil: Doboszyński Adam.
Biała: Łazarski Stanisław.

OSTATNIE NABOJE.

„Baczność Wiara! Broń nabić! Cel! Pal!“ Grzmią wystrzały.
Pada twarzą tłum dziczy — tryumfują nasi;
w oczach iskrzy się zapał, twarz rumieniec krasi...
Co to?!... Przebóg!... Za lasem znów trąbki zagrały...

Zbladła twarz Naczelnika... Nowe idą roje;
tam, na ciemnym tle boru iskrzą się bagnety
a Ich już tylko garstka... Dwudziestu!... Niestety...
Drżąca dłoń już ostatnie wyjmuje naboje!...

„Rzućcie broń!“ — brzmi komenda. — „Z pięściami na wroga!“
Słucha Wiara, w dłoń pluje i pędem wali
naprzód hufiec Straceńców, co nie zna, co trwoga...

Bój się wszczyna zażarty — pięść w kułak zwinięta
rozbija jak obuchem moskiewskie czerepy...
Padli Wszyscy... Za Ciebie, na krzyżu Rozpięta!...

Władysław Sioło.



CZARNA ZARAZA.

10. Dzielny młodzieniec.

Oburzenie Sperwera. Śniadanie. Baron Zimmer. Chęć odjazdu. Śmiały wędrowiec. Blada twarz Odili.

Sperwer był oburzony.

— Otóż co się nazywa szczęściem możnych! — zawołał. — Bądźże tu panem na Nidecku, miej zamki, stawy, lasy, najpiękniejsze posiadłości w Czarnym Lesie i słuchaj, jak ci jakieś dziewczątko będzie powtarzać słodziuchnym głosikiem: »Chcesz? Bardzo dobrze, ale ja nie chcę. Prosisz mnie? A ja odpowiadam: To niepodobna«. O Boże! Co za nędza!... Czyż nie tysiąc razy lepiej urodzić się synem drwala i żyć z pracy rąk własnych? Pójdźmy, Franku. Potrzebuję odetchnąć świeżem powietrzem.

Było już około dziewiątej. Niebo, tak piękne z rana, okryło się chmurami. Wiatr bił śniegiem o szyby i ledwo można było rozróżnić wierzchołki gór sąsiednich.

Mieliśmy zejść ze schodów, wiodących na główny dziedziniec, gdy na zakręcie korytarza zetknęliśmy się nos w nos z Tobiaszem Offenlochem.

Poczciwiec był zupełnie zadyszany.

— Hola! — zawołał, zagradzając nam drogę laską — gdzież u dyabła tak szybko pędzicie? A śniadanie?

— Śniadanie, jakie śniadanie? — zapytał Sperwer.

— Jak to, jakie śniadanie? Przecieżeśmy się umówili, że zjemy dziś śniadanie razem z panem doktorem.

— Prawda, zapomniałem o tem.

— Offenloch zaczął się śmiać, otwierając usta od ucha do ucha.

— Ha! ha! ha! a to wyborne! — zawołał. — A ja się bałem, że przyjdę ostatni

— No, no, śpieszcie się. Kasper was już czeka na górze. Kazałem nakryć w waszym pokoju, mości Sperwerze. Tam będziemy swobodniejsi. No, do widzenia!

— Nie idziecie z nami, panie Tobiaszu? — zagadnął Sperwer.

— Nie w tej chwili, muszę uprzedzić pannę hrabiankę, że baron Zimmer-Blouderic prosi o pozwolenie złożenia jej swego uszanowania, zanim opuści zamek.

— Baron Zimmer?

— Tak, ten nieznajomy, który wczoraj w nocy przyjechał.

— Dobrze, tylko się śpiesz.

— Nie bójcie się. Wrócę, zanim odkorkujecie butelki.

I oddalił się, utykając.

Wyraz »śniadanie« zmienił zupełnie kierunek myśli Sperwera.

— Tam do licha! — rzekł, wracając się — powiadają, że dobry trunek na frasunek. Rad jestem, że nakryto w moim pokoju; pod olbrzymiem sklepieniem tej zbrojowni będziemy wyglądać, jak myszy, gryzące orzechy w kącie kościoła. Otóż jesteśmy! Posłuchaj, Franku, jak wiatr świszczy w strzelnicach. Rychło patrzeć, jak będziemy mieli straszną zawieję.

Popchnął drzwi i Kasper, który bębnił palcami po szybach, odwrócił się śpiesznie, aby nas powitać. Sperwer zrobił sobie z niego swojego służącego; on

mu czyścił broń, naprawiał munsztuki i popręgi, karmił psy podczas jego nieobecności i dopilnowywał w kuchni przyprawy ulubionych jego potraw; jednem słowem, był tem dla Spperwera, czem pan Tobiasz Offenloch dla hrabiego. Obecnie, zarzuciwszy serwetę na ramię, odkorkowywał poważnie długie butelki wina reńskiego.

— Kasprze — rzekł Sperwer — zadowolony jestem z ciebie. Wczoraj wszystko było dobre: sarna, pulardy i szczupak. Jestem sprawiedliwy. Gdy kto wypełnia swój obowiązek, lubię to głośno powiedzieć. Dziś to samo: ta głowizna dzika z sosem winnym wcale apetycznie wygląda, a zupa rakowa pachnie aż miło. Nieprawdaż, Franku?

— Istotnie.

— A więc — ciągnął dalej Sperwer — skoro tak jest, będziesz nam nalewał szklanki. Chcę cię wznosić coraz wyżej, bo zasługujesz na to.

Kasper spuszczał skromnie oczy, czerwienił się i zdawał się rozkoszować pochwałami swego pana.

Usiedliśmy i wyznaję, że z pewnem uwielbieniem patrzyłem, jak stary myśliwiec, który niegdyś był szczęśliwy, gdy mógł sobie sam zupę z kartofli ugotować, umiał grać rolę pana.

Gdyby się był urodził hrabią na Nidecku, nie mógłby przybrać szlachetniejszej i wspanialszej postawy przy stole. Jedno jego spojrzenie wystarczało, aby ostrzedz Kaspra, jaki półmisek ma posłać, lub jaką odkorkować butelkę.

Zabieraliśmy się właśnie do głowizny, gdy wszedł pan Tobiasz, ale nie sam; baron Zimmer Blouderic i jego masztalerz ukazali się za nim ku wielkiemu naszemu zdziwieniu.

Powstaliśmy od stołu. Młody baron postąpił ku nam z odkrytem czołem: była to piękna głowa, blada, dumna, objęta kędziorami czarnych włosów.


— Chciałbym się dostać o sześć mil stąd do Wald-Hornu.

— Panie — rzekł tym czystym saksońskim akcentem, którego żadne inne narzecze oddać nie może — przychodzę tu odwołać się do pańskiej znajomości okolic tutejszych. Hrabianka Nideckówna zapewnia mnie, że nikt lepiej od pana nie mógłby mnie w tym względzie objaśnić.

— I mnie się tak zdaje, panie baronie — odparł Sperwer, kłaniając się. — Jestem na rozkazy pana barona.

— Ważne powody zmuszają mnie jechać natychmiast pomimo zawiei — mówił dalej baron, wskazując zaśnieżone okna — Chciałbym się dostać o sześć mil stąd do Wald-Hornu.

— To będzie trudno — panie baronie, wszystkie drogi są zasypane śniegiem.

— Wiem, ale tak trzeba.

— Przewodnik byłby niezbędny: ja, naprzykład, jeżeli pan baron sobie życzy, albo Sebalt Kraft. Zna on na wylot góry, począwszy od Unterwalden w Szwajcaryi aż do Pirmesens w Hundsrucku.

— Dziękuję panu za tę gotowość, ale przyjąć jej nie mogę. Objaśnienia mi wystarczą.

Sperwer skłonił się, poczem zbliżywszy się do okna otworzył je. Potężny podmuch wiatru buchnął śniegiem w korytarz i zamknął drzwi z hałasem.

Baron i jego masztalerz zbliżyli się do okna.

— Panowie! — zawołał Sperwer donośnie, aby przy świście wiatru dać się słyszeć. — Oto jest mapa kraju. Gdyby była pogoda, poprosiłbym was, żebyście weszli na wieżę sygnałową. Stamtąd widać Czarny Las. Ale dzisiaj na nic się to nie zda. Stąd można dostrzedz szczyt Altenbergu, a dalej za tym białym wierzchołkiem Wald-Horn. Otóż trzeba iść prosto na Wald-Horn. Tam, jeżeli śnieg na to pozwoli, ze szczytu tej skały w kształcie mitry zobaczycie panowie trzy wierzchołki: Behrenkopf, Geierstein i Trielfels. Potrzeba się skierować ku ostatniemu, na prawo. Strumień przerzyna dolinę Reethalu, ale teraz musi być zamarznięty. Jeżeliby nie było podobna iść dalej, znajdziecie panowie rodzaj wąwozu, zwanego Doliną Skalistą. Tam przepędzicie noc a jutro będziecie mieli Wald Horn przed sobą.

— Dziękuję panu.

— Gdybyście panowie spotkali jakiego węglarza — mówił dalej Sperwer — mógłby wam wskazać kierunek strumienia. Tylko pamiętajcie obejść dokoła Behrenkopf, bo z drugiej strony zejście nie możliwe: prostopadłe skały.

Podczas tych objaśnień przyglądałem się Sperwerowi, którego czysty, pewny głos każdy wyraz zaznaczał.

W chwili, gdy się cofali od okna, przelotny blask odsłonił nam nieco widnokrąg. Można było dojrzeć trzy szczyty poza Altenbergiem i inne szczegóły, o których Sperwer wspominał, poczem zakotłowało się znowu w powietrzu i świat znikł nam z oczu.

— To dobrze — rzekł młody baron — zobaczyłem cel mojej podróży, a dzięki objaśnieniom pana spodziewam się go dosięgnąć.

Sperwer skłonił się, a śmiały wędrowiec i jego towarzysz, pożegnawszy nas, wyszli zwolna.

Gedeon zamknął okno, poczem zawołał:

— Trzeba być opętanym od dyabła, żeby się na taki czas puszczać w drogę. Wilka-bym dzisiaj na dwór nie wypędził. Ale to już ich rzecz. No, co tam! pijmy. Panie Tobiaszu, w twoje ręce!

Zbliżyłem się do okna, patrząc, jak baron Zimmer-Blouderic i jego masztalerz dosiadali koni. Na głównym dziedzińcu, firanka, zasłaniająca jedno z wysokich okien przeciwległej baszty, uchyliła się i pomimo śniegu dojrzałem bladą twarz panny Odili, posyłającą w stronę młodzieńca długie spojrzenie.

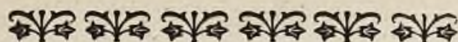
— Co tam robisz, Franku? — zawołał Sperwer.

— Nic, przypatruję się wierzchowcom tych nieznajomych.

— A tak, dzielne bestye!

Jeźdźcy popędzili cwałem. Firanka opadła.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Zagadki do nagrody.

1. ARYTMOGRYF.

(Ułożył Jan Malinowski).

					1					
				1	2	9				
			10	13	3	14	12			
		15	9	16	4	16	17	18		
	12	9	8	12	5	2	19	20	16	
8	4	21	13	9	6	7	10	8	7	20
	18	7	13	11	7	10	16	8	12	
		8	9	4	8	18	7	13		
			10	2	9	2	11			
				21	4	11				
			5	4	11	12	9			
		9	4	16	12	11	7	12		

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Rzeka. 3. Materyał do budowy. 4. Miasto w Galicyi. 5. Imię męskie. 6. Wyraz szukany. 7. Miasto w Galicyi. 7. Belki pod dachem. 9. Apostoł Słowian. 10. Nazwisko poety. 11. Pieniądz amerykański. 12. Imię żeńskie.

Liczby zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy pionowy poda nazwę znanego zapewne wszystkim czytelnikom »Roli« pisma. Rząd poziomy (najdłuższy) poda nazwisko i początek imienia wydawcy pisma.

2. SZARADA.

(Ułożyła Wł. Ogińska).

Pierwsza z drugą, rzecz nieprzyjemna dla każ-
Począwszy od małego, aż do starszego. [dego,
Druga z trzecią, to nazwa znana,
U starozakonnych poważana.
Całość to nazwa narzędzia,
Które tyle szkód wyrządza.

3. SZARADA.

(Ułożył Józef Waszek).

Pierwsze zaprzecza wszystkiemu,
Drugie również niejednemu.
Pierwsze drugie jest wysoko,
A zaś trzecie jest głęboko.
Każdy nad wszystkiem się ulituje
Chociaż nie zawsze na to zasługuje.

4. SZARADA.

(Ułożyła Zofia Augustowska).

Czy słyszałeś, że zostały zniesione
pierwsze-drugie czwarte w Rosyi?
Mój drugie-trzecie i czwarte
pamiętaj, że kto drugie i trzecie
prawdę — ten nie będzie kłamał,
jak jaka druga i pierwsza
dziewczyna, albo całkiem całość,
który nie wie, co się dzieje
dookoła niego!

5. PRZESTAWIANKA.

(Ułożyła Marya Augustowska).

Mieczyław, Wawrzyniec, Wacław, Wiktor, Weronika, Wiktorya, Wojciech, Tekla, Tadeusz, Antoni, Krystyna, Zygmunt, Piotr, Paweł, Edward, Czesław, Zofia, Grzegorz, Joanna, Jerzy, Zuzanna, Marya, Ludwik, Justyna, Jadwiga, Andrzej, Julia, Franciszek, Alojzy, Cecylia.

Z podanych imion wyjąć po jednej literze i ułożyć z nich znane polskie przysłowie.

6. SZARADA.

(Ułożył Franciszek Zydroń)

Pierwsza czwarta częścią ciała,
Z drugiej wiersz wyrasta.
Całość miasto — w tem rzecz cała
W niem dwa główne miasta.

* * *

Za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek przeznaczamy do wylosowania, jak zwykle, dwie oprawne książki.

* * *

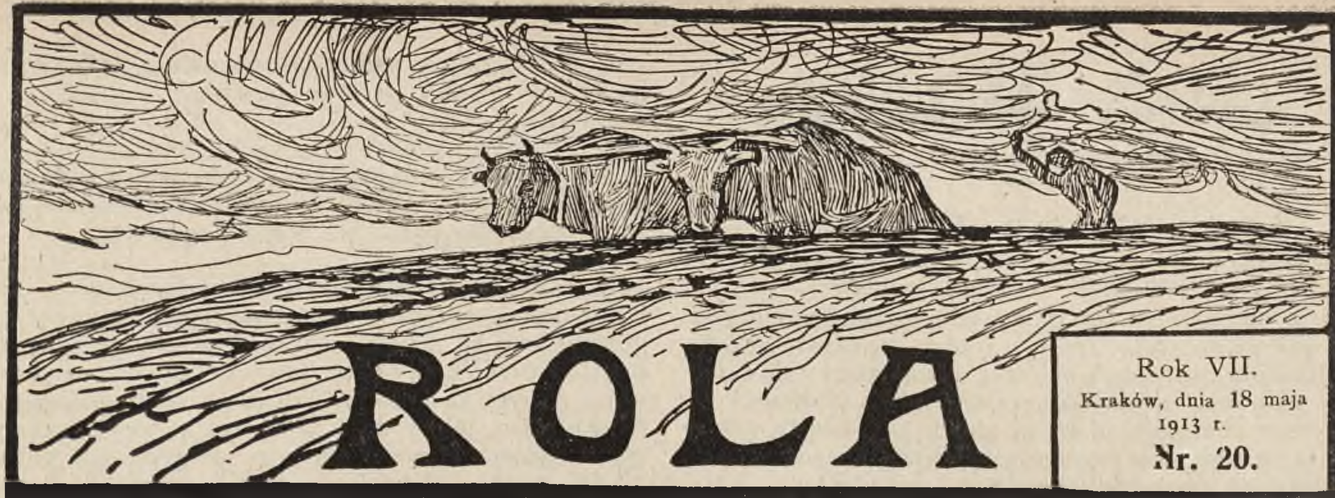
Rozwiązania może nadsyłać każdy, nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin do 17 maja 1913 r. Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

Znaczenie zagadek z numeru 17 »Roli«: 1. Arytmogryf: **Perłowicz.** 2. Łamigłówka historyczna: 1018, 1241, 1410, 1569, 1605, 1610, 1621, 1683, 1768, 1772, 1791, 1792 1793, 1794, 1795, 1797, 1813, 1817, 1831, 1863, 1386. 3. Szarada: **Pac-cap.** 4. Szarada: **Załoby.** 5. Szarada: **Polak.** 6. Szarada: **Matematyka.** 7. Szarada: **Pigułki.**

W oznaczonym czasie dobre rozwiązania nadesłali PP.: Stefania Kołodziej i Wł. Łukasik z Z., Adela Bezokówna z K. M Wł. Ogińska z P., Jan Małkowicz z B., Zofia Kobylarz z B., Fr. Teper z M. K , Józefa Hirszberg z K., Fr. Siekaniec z P., Jan Sowa z W., Piotr Bochnia z T , S. C. z Szczurowej, Józef Waszek z J., Tadeusz Rapała z J., Bronisław Dybowski i Michał Chwałek z B.G., Arkadyusz Szarek z S. W., Henryka Wardzałowa z G., Z. Augustowska z K.

Pierwszą nagrodę p. t. ***Na przełomie*** wylosował p. **Jan Sowa** z W., zaś drugą p.t. ***Z chłopskiej niwy*** Wł. Łukasik z Z.

Wydawca: Stanisław Kopernicki. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
Drukarnia „Czasu“ w Krakowie pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego.



Rok VII.
Kraków, dnia 18 maja 1913 r.
Nr. 20.

TYGODNIK OBRAZKOWY NIEPOLITYCZNY KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — Ogłoszenia po 30 halerzy za wiersz jednoszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy; do nabycia w księgarniach i na większych dworcach kolejowych. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.** Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. Godziny redakcyjne codziennie od godz. 3 do 6. Telefon nr. 2346.

Czego nam potrzeba?

Pytanie to nadzwyczaj obszerne i każdy na nie inaczej odpowie. Socyalista zażąda chleba, demokrata wolności i równości, bogacz spokoju, poeta i artysta natchnienia, urzędnik podwyższenia pensyi, ludzie wolnych zawodów zarobku, słowem każdy żąda tego, czego sam dla siebie potrzebuje.

I nikt nie zdołałby wszystkich zadowolić, bo ile jest zawodów i przekonań, tyle jest życzeń wprost nawet sprzecznych ze sobą tak, że zaspokojenie ich wszystkich wywołałoby walkę klas, stanów i stronnictw. Nie leży też w naszej myśli rozważać z tego stanowiska postawionego na wstępie pytania. Stojąc na stanowisku pracy społecznej, pracy narodowej z tego punktu widzenia zastanawiamy się nad naszymi brakami i sposobem ich usunięcia.

A braki te są niestety i tamują rozwój naszego życia społecznego. O nich chcielibyśmy pomówić i wskazać lekarstwo, które zdaniem naszem może usunąć nasze słabości. Prawie wszyscy bierzemy udział w życiu społecznem, wielu z nas uczestniczy w pracy narodowej a wszyscy czujemy, że praca ta zbyt powoli postępuje, że owoc całego życia naszego, pracy kilkadziesiąt lat trwającej, nie stanowi może nawet jednej kropli krwi w organizmie całego społeczeństwa.

Przypatrzmy się tej pracy, czy jest ona równomierna, czy jest z jedną myślą prowadzona, czy nie nuży ona nas przedwcześnie i czy nie zbyt szybko przygasają nasze zapały. Po głębszej rozwadze przyznać musimy, że odpowiedź na te pytania będzie ujemną, bo praca nasza jest zbyt rozbieżną, bo każdy w inny sposób dąży do celu a stąd powstaje wzajemna walka przekonań a co gorsza osobistych interesów, ambicyi i t. p. Następstwem tego jest zniechęcenie do życia publicznego i do jednostek życiu temu oddanych, bezkrytyczne ich potępienie przy równoczesnem posądzeniu, że pracują tylko dla siebie, dla swego dobra i swojej chwały. I dzieje się, że jednostki lepsze, któreby mogły wziąć większy udział w pracy narodowej, zasklepiają się w ciasnych kołach życia prywatnego i giną bezpowrotnie dla narodu mimo, że są tak bardzo potrzebne.

Przyczyną tej rozterki w społeczeństwie, tego odosobnienia jednostek i oddzielenia od całego organizmu, tego przygasania ducha, jest tylko małostkowość i brak wielkich celów, słowem, brak idei, którąby te jednostki wiodła przez całe życie do wspólnego nam celu.

Idea bowiem jest w pracy społecznej gwiazdą przewodnią, jest słońcem, które pokrzepia i rozgrzewa, jest siłą nadziemską, która tworzy cuda. Jej siła jest niezwalczona, ona każe zapomnieć o drobnostkach życia codziennego, o niechęciach osobistych i doznanych urazach. Ona więc goi rany społeczne, godzi sprzeczności i sprowadza jedność; siłą zaś swej głębokiej myśli zapala jednostki do czynów bohaterskich, do wytrwałej i ciężkiej pracy społecznej, do zwalczania wszelkich przeszkód a między temi i złości ludzkiej. Idea w pracy społecznej, to uzdrowienie społeczeństwa i jego odrodzenie; jak długo ona przyświeca, społeczeństwo musi iść naprzód i musi się rozwijać.

Jej bowiem podstawą i celem, jej warunkiem istnienia jest czynnik szlachetny, jest dobro poza naszem »ja« istniejące, jest więc myśl wznioślejsza, wolna od osobistych interesów i ambicyi. Ona więc tylko może być czynnikiem rzetelnej pracy narodowej, bo ta praca musi mieć na celu tylko dobro ogólne.

Na działalność ludzi stojących na czele społeczeństwa nie patrzmy z uprzedzeniem, ale chciejmy poznać cel, do jakiego oni dążą, a jeżeli cel ten jest piękny i szlachetny użyczajmy im swego zupełnego poparcia.

miecką. Polska bowiem wtenczas odniosła jedno z największych zwycięstw wieku XV, a co ważniejsza, osiągnęła je sposobem chrześcijańskim i ze zwyciężonymi po chrześcijańsku się obeszła. Utrwaliła swą przewagę na wschodzie i sama podniosła się do rzędu największych potęg w Europie. — Krzyżacy, chociaż popierani przez całe Niemcy, pobici i złamani tą klęską, już się więcej nie podnieśli Dalej wygłosił na kopcu modlitwę chłopa polskiego krakus młodzieniec Władysław Kozioł z Bolesławia. Po nim przemawiało dwoje dzieci szkolnych. Przemawiał również patryota, profesor gimnazyalny z Tarnowa, przytaczając bolesne ciosy rozbioru Polski, oraz trzy powstania, w których brali udział bracia chłopi z pod Racławic i t. p. W końcu przemawiał gorąco i trafnie do zgromadzonego ludu p. Włodzimierz Sroczyński, marszałek powiatu, który podniósł, że w chłopie polskim nadzieja ojczyzny, bo kiedy były powstania polskie, to nietylko chłopi polscy z pod Racławic bili się mężnie, ale również znajdowali się w powstaniu i chłopi z parafii bolesławskiej, którzy bili się za wolność z zapałem, a byli nimi polegli w powstaniu: Andrzej Przewoźnik z Toni, Lis z Kanny i Saletnik z Bolesławia.

Po przemowach śpiewali pieśni narodowe Krakusy i dzieci szkolne pod przewodnictwem ks. katechety Kaczmarczyka. Wieczorem, obok pomnika grunwaldzkiego, puszczano ognie sztuczne pod dozorem straży pożarnej z Mędrzechowa. Imieniem parafian, za starania urządzenia święta narodowego w Bolesławiu na cześć bitwy pod Grunwaldem, składam Przewielebnemu ks. kanonikowi Wojciechowi Młyńcowi serdeczne staropolskie »Bóg zapłać!«

Stanisław Kochanek, włościanin z Mędrzechowa.

(J. S.) **Piorun.** W miasteczku Baranów, powiatu tarnobrzeskiego, dn. 6 czerwca uderzył piorun w stodołę dworską, będącą własnością p. Stanisława Dolańskiego z Baranowa. Pastwą pożaru padło trzy wielkie stodoły, oraz młocarnia parowa, dwa siewniki, kilkanaście pługów i wozów, i wiele innych narzędzi gospodarczych. Szkodę wyrządzoną obliczają na około pięćdziesiąt tysięcy koron, a ubezpieczona była na 17.000 koron.

Prośba pogorzelca. We wsi Harta, poczta Bachórz, dn. 25 maja wybuchł groźny pozar, którego pastwą padło siedem zabudowań gospodarczych. Między innymi spaliły się budynki gospodarcze Franciszka Banasia, prenumeratora i przyjaciela »Roli«. który, nie będąc ubezpieczonym, znalazł się w wielkiej nędzy. W liście, pisanym do nas pod wrażeniem tego nieszczęścia, prosi on serdecznie Czytelników »Roli« o łaskawą pomoc. Najdrobniejsze datki, byle ofiarowane łaskawie przez tysiące naszych Czytelników, dadzą poważną kwotę i będą wielką pomocą dla nieszczęśliwego. Administracya »Roli« chętnie pośredniczy w zbieraniu składek dla Franciszka Banasia.

(J. K.) **Rażeni piorunem.** Przed paru dniami przeciągała nad wioską Konty, we wschodniej Galicyi, gwałowna burza, połączona z grzmotami. Dwaj robotnicy, pracujący na polu, zostali rażeni piorunem. Jeden, spalony na węgiel, poniósł śmierć na miejscu, drugiego zaś zdołano odratować.

(J. K.) **Czyżby nafta?** We wsi Chwatowie, koło Oleska, przy kopaniu nowej studni, wybuchły w głębokości czterech metrów gazy, przypominające swym zapachem naftę. Studnię tę zaraz zasypano, zaś wójt gminy udał się de Złoczowa, by zawiadomić o tem starostwo.

(J. K.) **Kradzież.** Metropolicie ruskiemu, hr. Szeptyckiemu, zdarzył się niemiły wypadek. Oto w czasie pobytu w Glinianach, skradziono mu złoty zegarek z łańcuszkiem. Podobno żandarmerya tamtejsza ma już być na tropie złodzieja.

(F. P.) **Straszna śmierć.** W Szczercu, koło Lwowa, dwaj ludzie, pracujący około kanałów w zabudowaniach sądu, zginęli z powodu zabójczych gazów, dobywających się z kanałów.

Niezwykły zapis. W sercu największych zbrodniarzy dokonywają się niekiedy odmiany przedziwne. Więzień, aresztant, umierający w więzieniu w Stanisławowie, złożył 100 koron, oszczędzonych w ciągu kary więziennej, na... gimnazyum polskie w Czerniowcach, charakterystycznemi, zaiste słowy motywując swój testament. Był synem urzędnika, dzieckiem statecznych rodziców, którzy pragnęli mu dać wykształcenie. Skończył klasy ludowe, chciał iść do gimnazyum. Ale z braku polskiego zakładu musiał obrać szkołę gimnazyalną niemiecką. I tu potknął się po raz pierwszy o fatalną zaporę, o obcy język wykładowy! Chłopiec nie mógł rozumieć i nie rozumiał zgoła nauki niemieckiej, a następstwem tego stało się opuszczenie szkoły, później całkowite wykolejenie. Począł więc spadać po pochyłości życia i za lat parę ujrzał się przed kratkami kryminału, skazany na dłuższe więzienie. Tu zaczyna się jego pokuta i wyzwolenie od win ciężkich, więzień bowiem oddaje się pracy, odejmuje sobie od ust, wyrzeka się wszystkiego i składa grosz do grosza... na polską szkołę. Zaznacza też intencyę tę w swoim testamencie, który jest szczerą publiczną spowiedzią.

Piękny czyn żołnierzy. Z Czerniowiec, na Bukowinie, donoszą o następującym wypadku, który zaszedł tam niedawno: Gdy pierwsza kompania 22 pułku obrony krajowej wracała pod wodzą kadeta A. Syki i wachmistrza Dmytra Kauciuna z całodziennych ćwiczeń, zauważyło kilku żołnierzy człowieka, który chcąc się z wozem parokonnym przedostać na drugi brzeg Prutu, porwany został przez silny prąd rzeki, a uniesiony na głębinę, począł tonąć i rozpaczliwie borykać się z falami.



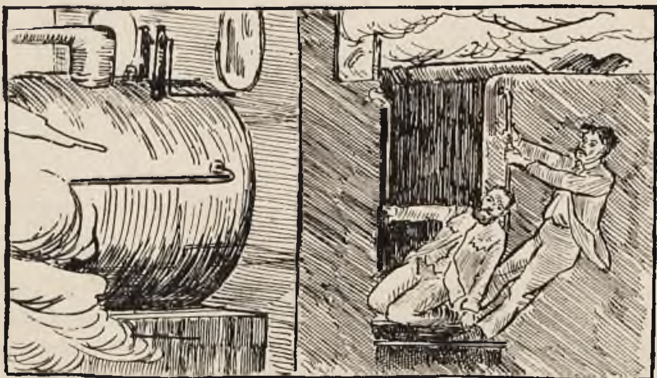
Siły woźnicy zaczęły słabnąć i można było zauważyć, jak wraz z końmi coraz głębiej się zanurzał. Cała kompania w jednej chwili, mimo zmęczenia, rzuciła się na ratunek, a kilku odważniejszych żołnierzy, odłożywszy jedynie karabiny, wskoczyło w całym rynsztunku w głębinę. Dopłynąwszy do tonącego, utworzyli przy pomocy reszty żołnierzy, pod kierownictwem kadeta, żywy łańcuch, sięgający od brzegu aż do środka rzeki. Z wielkim mozołem i narażeniem kilku żołnierzy na utratę życia, udało się wreszcie odważnej kompanii włościanina wraz z końmi i wozem uratować od niechybnej zguby. Czyn ten, prawdziwie bohaterski, zasługuje na podniesienie. Znajdzie też zapewne szczere uznanie u władz przełożonych.

Zamordowanie profesora. Dnia 11 czerwca zdarzyła się we Lwowie potworna zbrodnia. W seminaryum nauczycielskim, do którego uczęszczają

tak Polacy jak i Rusini, student ruski, Dżegała, po lekcyi strzałem z rewolweru zabił profesora Butkowskiego, Polaka. Strzelił doń z tyłu, gdy profesor wychodził z klasy. Do leżącego morderca dał jeszcze trzy strzały. Tumult powstał w całym zakładzie. Odrazu otoczono sprawcę zamachu, Eliasza Dżegałę, i osadzono w klasie, zamykając drzwi na klucz. Pozostawał on w tem przymusowem więzieniu aż do przyjścia policyi. Aresztowanego komisarz policyi zabrał na inspekcyę, gdzie ściągnięto zeń zeznania. Wszystko, co Dżegała mówił przed komisarzem, okazało się nieprawdą. Prof. Butkowski go bowiem nie »prześladował«, lecz Dżegała wogóle był uczniem złym i nietylko z polskiego, którego uczył prof. Butkowski, lecz i z innych przedmiotów nie robił postępów.

Straszny ten wypadek jest niewątpliwie w związku z podburzaniem prasy ruskiej przeciw Polakom. Młodzież ruska, nie wiedząc, że te podburzania nie mają podstawy, pała nienawiścią do Polaków, a przytem nie mając dostatecznie wszczepionych zasad religijnych i moralnych, wydaje z pośród siebie potworne jednostki, które nie cofają się przed zbrodnią. Straszna śmierć bardzo uzdolnionego profesora i zacnego człowieka, który liczył dopiero 32 lat, wywołała w całym kraju głębokie wrażenie. Nieboszczyk posiadał rodzinę w Krakowie; do Krakowa też przewieziono jego zwłoki i tam dn. 14 b. m. odbył się z dworca kolejowego pogrzeb. Uczestniczyło w nim tysiące młodzieży z wszystkich zakładów naukowych krakowskich z profesorami na czele, deputacya profesorów i uczniów seminaryum ze Lwowa, gdzie zmarły pracował i rzesze publiczności.

Między życiem a śmiercią. Pociąg pośpieszny, idący z Wiednia, znajdował się już o kilkadziesiąt kilometrów od stolicy, kiedy nagle, z niewyjaśnionej dotąd przyczyny, pękła tylna ściana kotła lokomotywy, skutkiem czego z rezerwoaru buchać poczęła gęsta parą, parząc bardzo dotkliwie maszynistę i palacza. Obaj pokaleczeni, ratując się przed nieuchronną śmiercią, skoczyli na bok i schronili się na stopnie lokomotywy, gdzie wisząc nieledwie w powietrzu, szukali w sposobności ratunku. Tymczasem pociąg pędził naprzód całą siłą pary, mijając po drodze drobne stacye, Podróżni, nie wiedząc o niczem, zachowywali się zupełnie spokojnie, w zwykłych nawet bowiem warunkach pociąg ten zwykł się zatrzymywać tylko na znaczniejszych dworcach. Po pewnym czasie położenie obu ofiar wypadku stało się wprost okropne.



Osłabieni ranami, tracili przytomność i siły i lada chwila runąć mogli ze schodków na tor, gdzie ich czekała nieuchronna śmierć. O powrocie na maszynę mowy być nie mogło, ponieważ uchodząca w dalszym ciągu nieprzerwanie para groziła ranami. Mimo to jednak maszynista, ratując siebie i nie wiedzących o niczem podróżnych, zdobył się na krok bohaterski. Nie zważając na rany, ostatkiem sił wdrapał się z powrotem na maszynę, wśród dotkliwego bólu przedarł się przez gęste kłęby pary do regulatora i otworzywszy go, wypuścił wszystką parę, skutkiem czego pociąg zwolnił biegu, a następnie stanął w polu. Dzielnego maszynistę przewieziono do najbliższego szpitala, poprzednio zaś wręczono mu pokaźną sumkę pieniężną, zebraną wśród podróżnych, jako nagrodę za jego dzielny czyn.

(A. K.) **Pijak podpalaczem.** Z Cieszyna piszą nam: Przed sądem przysięgłych stanął 37-letni robotnik, Józef Kocur z Dziedzic. Żonaty to wprawdzie człowiek, ale że za bardzo oddawał się pijaństwu, już od dłuższego czasu żyje sam, gdyż zona przy nim wytrzymać nie mogła. Przeciwko niemu wniesiono oskarżenie o podpalenie. Dn. 3 maja b. r. podpalił ze złości i chcąc się zemścić, jak sam powiada, słomę w szopie szynkarza Littnera w Dziedzicach, wskutek czego uległy zniszczeniu dwie szopy, kręgielnia, lodownia i dach jatki. Skazano go na trzy i pół roku więzienia.

Długowieczność. W 119 roku życia znajduje się obecnie robotnica Jadwiga Strawna w Dornowie, w powiecie międzyrzeckim, w Poznańskiem. Urodziła się ona dn. 15 października 1794 r. Jeszcze ostatniej jesieni była staruszka tak rzeźka, że pomagała kopać kartofle; od kilku jednak tygodni leży w łóżku z powodu paraliżu. Strawna jest najstarszą osobą w całych Niemczech.

Sienkiewicz okradziony na ulicy. Gdy znakomity nasz powieściopisarz, Henryk Sienkiewicz, przechodził przez jedną z ulic w Warszawie, jakiś rzezimieszek wyciągnął mu z kieszeni zegarek; uczynił to jednak tak niezręcznie, że Sienkiewicz, zauważywszy to w porę, przytrzymał złodzieja za rękę i kazał go aresztować. Przyprowadzono złodzieja do cyrkułu, lecz nie znaleziono już przy nim zegarka, który widocznie podrzucił jakiemuś wspólnikowi. Dla Sienkiewicza utrata zegarka jest przykra, gdyż był on dla niego cenną pamiątką.

Burze i grady w Królestwie Polskiem. Dwie burze, które szalały w różnych stronach ziemi lubelskiej, poczyniły olbrzymie szkody. Ulewa i grad zniszczyły żyta w wielu majątkach. W niektórych miejscach żyta były tak zbite i wtłoczone w ziemię, iż trudno rozpoznać, co było obsiane. Ulewa wypłókała w wielu miejscach prawie zupełnie ziemniaki i zniosła je w niziny. Piorun wzniecił pożar we wsi Fajsławicach i spalił siedem zagród. Za Wąwolnicą piorun, który uderzył w budę karczujących pnie, zabił trzech ludzi, ukrytych w budzie. Wicher porwał i przeniósł w Siedliskach stodoły o 4 wiorsty. Spływające potoki wody wyżłobiły tysiące głębokich wyrw, zabierając z sobą ogrodowizny i ziemię uprawną.

Obłędy Macocha. Dzienniki warszawskie donoszą z Piotrkowa, iż Damazy Macoch uległ atakowi obłędu. Zdarzyło się to w chwili, gdy zawiadomiono go, że pozbawiony wkrótce zostanie godności kapłańskiej, albowiem wyrok co do niego jest już prawomocny, przyczem kara, przez sąd wymierzona, została mu złagodzona o jedną trzecią na podstawie manifestu, tak, że zamiast 15 lat robót ciężkich, czeka go lat 10. To oświadczenie wywarło na Macochu wrażenie piorunujące; dotąd spokojny, najpierw zaczął lamentować, następnie zaś wpadł w szał i zaczął się tak awanturować, że trzeba go było przemocą uspokoić. Obecnie zajęty jest sporządzaniem prośby, w której dziękuje za darowanie mu trzeciej części kary.

Pies policyjny w charakterze świadka. W sądzie okręgowym w Płocku, w Królestwie Polskiem, rozważana była sprawa o zabójstwo, w której

jako świadek główny ze strony oskarżenia występował pies policyjny »Boj«. Pies ten, gdy go sprowadzono na miejsce zbrodni do wsi Jedlno, w pow. płońskim, gdzie od kuli skrytobójczej padł w nocy włościanin Adolf Zdunkowski, po obwąchaniu przedmiotów, porzuconych przez skrytobójcę, puścił się pędem do domu sąsiada zamordowanego, niejakiego Feliksa Ryca. Później wyróżnił go znów dwa razy w areszcie, z pomiędzy wielu innych więźniów. Na rozprawie obrońca dowodził, iż opieranie dowodu winy na zachowaniu się psa ma podstawy zbyt kruche. Instruktor psa, żandarm Semeniuk, jadąc za strażnikiem i z psem na miejsce zbrodni, rozmawiał niewątpliwie o domniemanym zabójcy, F. Rycu, — Pies, twierdził obrońca, słyszał tę rozmowę, »co mogło wywrzeć na niego pewien wpływ«, albowiem między psem a instruktorem nawiązuje się zawsze pewne wzajemne oddziaływanie. Z tej racyi obrońca wnosił, ażeby nie dawać wiary »zeznaniom« psa policyjnego i klijenta jego od odpowiedzialności uwolnić. Sąd przychylił się do tych wywodów i wydał wyrok uniewinniający.

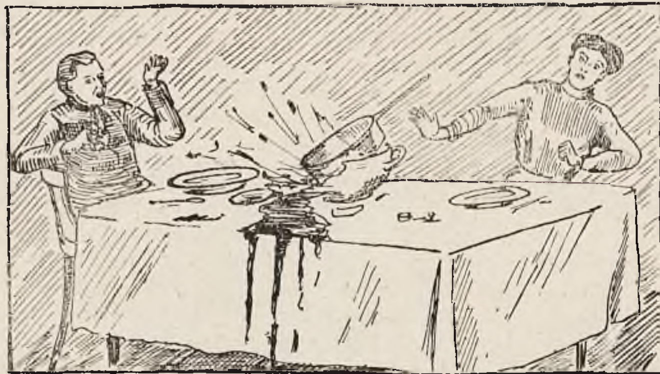
Zjazd wrogów katolicyzmu. W Chełmie bawił niedawno »biskup« maryawicki, Próchniewski, który odwiedził tamtejsze muzeum unickie t. j. grecko-katolickie, zagarnięte przez bractwo prawosławne. Podczas zwiedzania muzeum, Próchniewski porównywał życie maryawitów z życiem byłych unitów pod panowaniem Polski i ukarżał się na katolików. Duchowieństwo prawosławne podczas pobytu Próchniewskiego okazywało mu szczególne względy. Rezultatem będzie prawdopodobnie sojusz maryawitów z tamtejszymi popami przeciw ludności polskiej i katolickiej Chełmszczyzny.

Nieludzka mściwość. Pisma rosyjskie podają wiadomość o okrutnym akcie zemsty, dokonanym przez ludność wsi Starożywotin, w gubernii woroneskiej, w głębokiej Rosyi. Włościanie miejscowi pochwycili tam trzech koniokradów i dokonali nad nimi straszliwego samosądu. Połamano im ręce i nogi, następnie okaleczonych wbito na pale, na których skonali w męczarniach.

Dwa tysiące rubli za order. W sądzie w Dorpacie toczył się niezwykły proces. Kupiec Waniukow złożył na Czerwony Krzyż rosyjski 2.000 rubli za obietnicę wyjednania mu orderu św. Anny drugiej klasy. Prezes komitetu narwskiego Czerwonego Krzyża wydał Waniukowowi deklaracyę na blankiecie komitetowym, podpisaną przez siebie, że gdyby orderu Waniukow nie otrzymał, 2000 rubli będą mu zwrócone. Gdy order nie pojawiał się, Waniukow zaskarżył komitet o zwrot 2000 rubli i przedłożył sądowi powyższy dokument. Sąd jednak odmówił zasądzenia komitetu na zwrot i pieniądze zostaną przy Czerwonym Krzyżu.

Zamordowanie wielkiego wezyra. Najwyższy dostojnik turecki, pierwszy minister, wielki wezyr Mahmud Szefket, został dn. 11 czerwca w Konstantynopolu zamordowany. Dnia tego wielki wezyr Mahmud Szefket basza udał się w południe samochodem do pałacu rządowego tak zwanej W. Porty. — Samochód musiał się zatrzymać na skręcie ulic w miejscu, gdzie odbywają się roboty koło naprawy bruku, oraz ze względu na to, iż na ulicy zebranych było więcej ludzi. Gdy samochód się zatrzymał, nieznani ludzie dali kilka strzałów rewolwerowych. Wielki wezyr odniósł rany. Powrócił on do ministerstwa wojny, gdzie po pół godziny zmarł. Adjutant wielkiego wezyra, Ibrahim, zmarł również skutkiem odniesionych ran. Rada ministrów zebrała się wkrótce w ministerstwie wojny. Władze wojskowe wydały konieczne zarządzenia do utrzymania porządku. Pod zarzutem morderstwa aresztowano odrazu niejakiego Tewfika, lat 25. Następnie zaczęto ścigać towarzyszy Tewfika. Schronili się oni do domu pewnego obywatela angielskiego w chrześcijańskiej dzielnicy Pera. Dn. 13 b. m. o godz. 2 po południu zjawili się oficerowie policyi przed domem i zapukali do bramy. Mordercy Zia, Nasi i Kiasin dali strzały z rewolwerów, przyczem został zraniony adjutant gubernatora wojskowego Konstantynopola i sędzia śledczy. Następnie wojsko otoczyło dom i zaczęto ogień, na który sprawcy ciągle odpowiadali. Wojsko usiłowało wtargnąć do środka przez dach, co jednakże wskutek ciągłych strzałów morderców było niemożliwem. Musiano więc bramę rozbić i wtedy dopiero mordercy musieli się poddać. Walka trwała dwie godziny. Prócz wymienionych dwóch osób nikt więcej podczas oblężenia nie odniósł szwanku. Mordercy byli podobno narzędziami przyjaciół Nazima baszy, który zginął podczas zamachu stanu, dokonanego przez Enver beja. Wówczas zmuszono poprzedniego wielkiego wezyra Kiamila baszę do ustąpienia i postanowiono dalej walczyć. Niestety! zmiana rządu nic nie pomogła. Niezadługo Bułgarzy zdobyli Adryanopol i Turcya uległa zupełnemu pogromowi w Europie. Zamordowanie wielkiego wezyra oznacza wzrost anarchii w Turcyi, która po strasznych klęskach wojennych jest widownią wewnętrznego rozstroju i zamieszek.

Niegrzeczne duchy. Gazety angielskie podają następującą zabawną anegdotkę o »duchach«. Pan Tweedale, pastor Westonu, gości w swym domu duchy, które przynoszą mu nadzwyczajne prezenty. Zasypują cały dom lecącym z sufitu — deszczem pończoch. Niestety, nie posiadają dobrych form i zjawiają się nie w porę, sypiąc pończochami podczas śniadania wprost do półmisków i talerzy. Brak im też wprawy w obchodzeniu się z najzwyklejszymi przedmiotami. Jednego dnia n. p. upuściły z sufitu rondel prosto w wazę z mlekiem. Skutkiem tej niezręczności narażają mieszkańców domu na nieprzyjemności. I tak n. p. jednego dnia pęk kluczy, rzucony przez ścianę, uderzył panią domu w kark. Sprawca tego czynu jest znany, albowiem pani Tweedale, żona pastora, widziała go raz siedzącego w nogach jej łoża. Jest to czarno ubrany duch o twarzy spokojnej i poważnej.



Nie jest on w tym domu jedyny. Pan Tweedale, wracając jednego dnia z nabożeństwa, znalazł służące zabarykadowane w kuchni i dygocące ze strachu. Widziały ducha. Była to kobieta, która szła po schodach, niosąc trumienkę i śpiewając: »Requiem aeternam«. Nigdy bardziej nie w porę żaden duch pieśni tej nie śpiewał, albowiem w całym domu rozległ się równocześnie huk przewracanych sprzętów. Pan Tweedale stwierdził, że wszystkie słoiki były poprzewrcane; duchy zaczęły na niego rzucać rozmaitymi przedmiotami, kawałkami drzewa wyrwanemi z komody, wreszcie wielkiem wieszadłem na

rzeczy. Pastor przypisuje te awantury jakiejś swojej krewnej, która chętnie »Requiem aeternam« śpiewywała, a która właśnie umarła.

Niedługa trzeźwość. Z pewnego miasteczka na Litwie piszą do gazet warszawskich: Kilku mieszkańców naszego miasteczka słysząc hasło: »Precz z gorzałką!« postanowiło zawiązać Towarzystwo trzeźwości. Na omówienie ustawy Towarzystwa zgromadzili się założyciele do karczmy, aby przy butelce wódki radzić o trzeźwości. Postanawiają więc, że po wypiciu dziś ostatniego kieliszka na zapomnienie, nie będą już nigdy pić wódki; kto zaś ze stowarzyszonych przestąpi tę uchwałę, zapłaci 5 rubli kary na potrzeby Towarzystwa, a przy powtórnem przestąpieniu, będzie wykreślony z liczby członków. Pozwala się towarzyszowi wypić w razie wielkiego pragnienia jedną butelkę piwa; jeżeli jednak będzie pochwycony na piciu większej ilości piwa, zapłaci taką samą karę, jak za picie wódki. Warunki te podpisali stowarzyszeni, pijąc po ostatnim »półkwaterku« »słabej«, i podawszy sobie ręce na wytrwanie w dobrych zamiarach, rozeszli się do domów. Minęło około dwóch tygodni: stowarzyszeni nie piją, ale im bardzo ciężko, bo nie mają jakoś chęci do jedzenia. Postanawiają więc do warunków poprzednich dopisać jeszcze jeden, a mianowicie: kto ze stowarzyszonych cierpi na brak chęci do jadła, może pić koniak, bo koniak nie jest przecie gorzałką. Wkrótce jednak stowarzyszeni zauważyli, iż zbyt wiele wydają na wzbudzenie łaknienia; zwołują więc do tejże karczmy nowe zgromadzenie i tym razem potępiają trzeźwość. Dowodzą, że człowiek pracy powinien mieć zawsze chęć do jadła, gdyż potrzebuje dużo sił, a im bez gorzałki jadło nie smakuje; prócz tego trzeba się trochę zabawić, a dla nich najlepsza rozrywka przy kieliszku! — Tak się rozchwiało Towarzystwo trzeźwości po nie całym miesiącu istnienia. Wszyscy jego członkowie piją teraz aż do upicia się i chwalą »wódeczkę«, że jest niedroga, a dodaje chęci do jadła. Pewnie jednak nie długo będą ją tak wychwalali, bo wiadomo, jak to wódeczka zwykła przyjaciołom swym się wywdzięczać.

Na zarobkach w Ameryce. W Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej jest dużo kopalń węgla, w których pracuje niemało naszych rodaków, co pojechali do Ameryki na zarobek. Ciężka i niebezpieczna jest ich praca. Niedość, że muszą ją spełniać w wykopach głęboko pod ziemią, gdzie noc wieczna, jeszcze prócz tego wisi nad nimi nieustannie straszne niebezpieczeństwo. W naszych kopalniach węgla, pod Sosnowcem i Dąbrową Górniczą w Królestwie Polskiem, przynajmniej powietrze jest czyste i górnicy mogą chodzić bezpiecznie ze światłem i ogniem, a tam, w Ameryce, we wszystkich kopalniach węgla wydobywa się i miesza się z powietrzem ulot węglany, który od lada iskierki wybucha ogniem i napełnia całą kopalnię trującym dymem, albo wszczyna w niej pożar. Takie właśnie nieszczęście było przed paru tygodniami w jednej kopalni pod miastem, zwanem Cyncynati, w krainie Ohju, w Ameryce Północnej. Zginęło tam odrazu kilkudziesięciu górników, a między nimi 26 wychodźców, przybyłych do Ameryki za zarobkiem z Litwy. Czternastu z nich pochodziło z gubernii kowieńskiej.

Króliki w Australii. Wiadomo, że króliki są plagą w Australii, nie wiadomo jednak, że ta wielka ziemia prowadzi z królikami wprost rozpaczliwą walkę. Kilka par królików, przywiezionych do Australii z Anglii w 1833 roku, rozmnożyły się tak szybko, że dziś liczy się tam króliki na miliardy. Gdyby ich nie tępiono, rozmnożyłyby się tak, że nie starczyłoby trawy dla owiec, które dziś stanowią bogactwo Australii, zaś podczas posuchy mogłyby się stać straszną plagą. Nic nie pomogło, że na jednej jedynej »farmie« folwarku na noc chwytano w pułapki i utopiono 10 do 20.000 królików i że na wielkich przestrzeniach codzień tępiono trucizną i zatrutą wodą po 120.000 tych zwierzątek. »Farmerzy« musieli opuścić swe folwarki i zostawić je na pastwę królików. Te małe zwierzatka zniszczyły w 1883 r. przeszło 10.000 kilometrów kwadratowych. Rząd wyznaczył wówczas ogromną sumę dla tego, kto znajdzie sposób na masowe tępienie królików, w następnych siedmiu latach na ten sam cel wydano przeszło 1,000.000 funtów szterlingów. Do dziś są jeszcze w Australii równiny kilkomilionowe, gdzie dziura jest koło dziury tak, że nawet konno tamtędy przejechać nie można, zwłaszcza w pobliżu rzek i potoków. We dnie nie widać ani jednego królika, ale jak tylko słońce zajdzie, setki tysięcy królików wychodzi z nor, tak, że można je zabijać pałką. Australczycy brzydzą się królikami i nie jedzą ich, zabijają je tylko dla skór stosunkowo dość dobrze płatnych, mięso zaś mrożą i wysyłają do Europy.

Odpowiedzi Redakcyi.

Redakcya nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

PP.: Ferdynand Kuraś w T.: Za łaskawą pamięć i życzliwe słowa serdecznie dziękujemy. Książkę z całą przyjemnością wysłałem. Jan Rejkowicz w Ż.: O samouczek i podręcznik niech się Pan zwróci do księgarni Krzyżanowskiego, Kraków, Linia A—B. Tygodnika podobnego niema w Galicyi. — P. Szczepan w N.: To od nas nie zależy. — Walenty Pasierb w Cz.: Za ładny wierszyk przesłany mi w dniu Imienin serdecznie dziękuję. — Szczepan Orzech w K.: Wierszyk dobry, więc go chętnie umieścimy. — Jan Banaś w P.: Jakie Pan ogłoszenie nadesłał, takie umieściliśmy, a że we wszystkich numerach, to inaczej być nie mogło, gdyż nie drukujemy osobno dla Ameryki, osobno dla Prus, a osobno dla Galicyi. — Katarzyna Nawrocka w K.: Żałuję mocno, iż ładnego wierszyka imieninowego nie mogłem umieścić, ale dlatego tem serdeczniej dziękuję. Katarzyna Nawrocka w K.: Z żywem zadowoleniem przeczytaliśmy serdeczny wierszyk ku uczczeniu pamięci ś. p. Kopernickiego. Dziękujemy bardzo za rzewne współczucie. — Jan Malinowski w L.: Owszem, mogą być i dłuższe — nadesłana zupełnie dobra. —

Potwierdzenia prenumeraty.

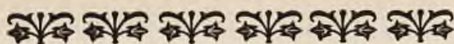
Czytelnia TSL. z L. 3 K., Czyt. TSL. z Ż. 3 K., Czyt. TSL z W. 3 K., Czytel. TSL. z M. 3 K., Kruczek Michał z Sz. 2 K., Czyt. Koła Macierzy szk. z Z. 2·33 K., Kutysz Michał z Ś. 4·50 K., Piątek Józef z B. 2 K., Sowa Julian z C. 2·92 K., Ks. Paszyna Jan z N. W. 4·50 K., Cop Władysław z H. 3 K., Śliwa Paweł z K. 2 K., Rudnik Józef z D. 3 K., Tun Stanisław z G. 2 K., Piernikarska Seweryna z K. 2 K., Szela Jan z B. T. 2 K., Mrózek Rudolf z D. C. 2 K., Siwek Adolf z K. K. 2 K., Grigiel Grzegorz z T. 1 K., Seremet Michał z D. 2 K., Grela Józef z N. G. 1 K., Has Jan z Z. 1 K., Nowak Jan z E. 2 K., Józef Piątek z B. 2 K., Chmiel Franciszek z P. 1·50 K., Jan Gibała z P. B. 1 K., Jan Wójcik z L. 1 K.

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie w d. 17 czerwca

Pszenica	Kor.	10·45	do	11·10	za 50 kg
Żyto	„	9·10	„	9·40	„
Jęczmień	„	8·20	„	8·70	„
Owies	„	9·10	„	9·60	„
Otręby pszenne	„	6·00	„	6·10	„
Otręby żytnie	„	5·90	„	6·10	„

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 17 czerwca:

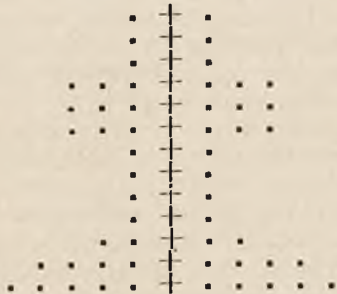
Buhaje	Kor.	120	do	300	za sztukę
Woły	„	—	„	—	„
Krowy	„	150	„	350	„
Jałówki	„	140	„	300	„
Cielęta	„	28	„	76	„
Owce i kozy	„	—		—	„
Świnie bita waga)	„	160	„	182	za 50 kg.



Zagadki do nagrody.

1. ŁAMIGŁÓWKA.

(Ułożyła Ira Kolmanowska).



Kropki i krzyżyki zastąpić literami. Rząd krzyżyków utworzy nam wypadek, o którym dziś wszyscy mówią.

Znaczenie wyrazów: 1. Dzikie zwierzęta. 2. Głos. 3. Spójnik zdania. 4. Przesąd. 5. Ochrona. 6. Plamy. 7. Spójnik. 8. Zwierzę domowe. 9. Owady. 10. Środek zaradczy. 11. Potrawa. 12. Ustronia. 13. Inaczej zjednany.

2. SZARADA.

(Ułożył Franc. Filek).

Pierwsze wstecz, trzecie wprost bywa,
Przed wschodem i po zachodzie słońca,
Drugie, trzecie, czwarte we żniwa,
Utwarza snopy i na tem zakończa,
Albo rozpuszcza, a nie inaczy,
Jak całość zgadniecie zagadki znaczy?

3. ZAGADKA.

(Ułożyła Ira Kolmanowska).

Wprost: wszyscy się nim cieszą,
Wstecz: lisy do nich spieszą.

4. SZARADA.

(Ułożyła Zofia Pawłowska).

Pierwsze litera, drugie litera,
Trzecie bezsprzecznie koran zawiera,
Czwarte na całe jasno wskazuje,
Że dziś pokaźne miejsce zajmuje.

5. SZARADA.

(Ułożył Wł. Łukasik).

Więcej pierwsze ludzi może niż jednostka,
Bo skuteczniej czwarte trzecie nam oświatę,
Więc, o bracia drodzy, drugie czwarte mienie,
Choć w części na całość dajcie a na chatę
Waszą spłynie spokój i zadowolenie,
Bo, gdy kto wypowie piąte, to drobnostka
Nie jest, bo ziarnko do ziarnka,
Składaj a wnet będzie miarka.
Na korzyść całości, jak się ona zowie,
Któż mi z czytelników rzetelnie odpowie?

6. SZARADA.

(Ułożył Wojciech Odelga).

Gdy wymawiasz pierwsze słowo,
Zwykle wtedy skiniesz głową,
A gdy je na wspak obrócisz,
To się ze wstrętem odwrócisz.
Pierwsze z pół drugiem złączone,
W ludziach, w muzyce cenione.
Pierwsze, drugie i pół trzecie,
W wojsku, w zagarze znajdziecie,
Drugie trzecie jest na roli,
W pośród grochu i fasoli.
Całość, gdy dobra, wszędzie szacowana,
Szczególniej w wojsku dobrze nagradzana.

* * *

Za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek przeznaczamy do wylosowania, jak zwykle, dwie oprawne książki.

* * *

Rozwiązania może nadsyłać każdy, nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin do 28 czerwca 1913 r. Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

Znaczenie zagadek z numeru 23 »Roli«: 1. Szarada: **Stokrótki.** 2. Rebus: **Jadwiga pobożna i sławna, ostatni potomek Piasta po kądzieli, połączyła dwa narody, gdy poszła przez poświęcenie za Jagiełłę, wnuka Gedymina, założyciela Wilna stolicy.** 3. Zagadka: **Słowo „koń" pisze się zawsze przez „k" zaś słowo „czasem" zawsze przez „c".** 4. Szarada: **Zasługa.** 5. Arytmogryf: **Polska.** 6. Szarada: **Tortury.** 7. Szarada: **Prenumerata.**

W oznaczonym czasie dobre rozwiązania nadesłali PP.: Piotr Bochnia z T., Jan Sowa z D., Józef Waszek z J., Paul Szczepan z N., Marya Ząbkowa z L., Józefa Hirszberg z K., Franciszek Teper z M, K., Jan Malinowski z L.

Pierwszą nagrodę p. t. ***W otchłani*** wylosowała p. **Marya Ząbkowa** z L., zaś drugą p. t. ***Stach z Konar*** p. **Jan Sowa** z D.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
Drukarnia „Czasu" w Krakowie pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego.